Panienka z okienka

CIEKAWE POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 6 ▭ Czerwiec 1911

Panienka z okienka.

Redaktor: ARTUR OPPMAN (Or-Ot).

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

DEOTYMA

(JADWIGA ŁUSZCZEWSKA)

Panienka z okienka

STAROD**AWNY ROMANSIK**

Tom II

Z 7-MIU ILUSTRACYAMI

WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. 1911

DRUK PIOTRA LASKAUERA.
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

I.

Miłość ma skrzydła.

Już dziesiąta na zegarze
Idźcie do snu, gospodarze.

I wstawali gospodarze z ław gankowych, goście żegnali się i rozchodzili, służba sprzątała szklenice i latarki, a pan Kaźmiérz patrzył na to wszystko z niemałéj wysokości, bo aż z dachu Bursztynowego Domu.

Siedział on tam na samym szpicu, jak na koniu, z głową wetkniętą między związane główki dwóch szczytowych esów. Przy nim czołgał się po dachu Maciek, rzekomy hajduk, ciągnący za sobą linę, w duży kłąb zwiniętą. Falszywe ścianki, z których składał się wierzchołek znajoméj nam liry, zasłaniały ich przed wszelkiém okiem, tylko twarz pana Kaźmiérza mogła być z dołu dojrzana, ale i ta w swojéj nieruchomości wyglądała na kamienny maskaron, umieszczony tuż nad złotą głową smoka.

Pan Kaźmiérz patrzył z góry i niecierpliwił się po-



Maciek czołgał się po dachu.

wolnością, z jaką ruch uliczny ustawał. Już na zégarach miejskich biło wpół do jedenastéj, a jeszcze zgrzyty kluczów i łoskoty sztab zasuwanych odzywały się z wnętrza domów, jeszcze cienie przechodniów przepływały po ścianach, niby ogromne mary.

Niełatwo téż było dokładnie się rozpatrzyć lub wsłuchać, bo ta noc ani blaskiem ani ciszą nie dorównywała poprzedniéj. Wyraźnie zanosiło się na zmianę pogody. Księżyc wprawdzie świécił, ale wązko padarte chmury co chwila go przesłaniały, i od czasu do czasu zrywał się wiatr szumliwy.

Nakoniec nastała chwila zupełnéj ciszy.

— Dzięki Bogu! Przecie się już pospali. Maciek, dawaj linkę.

Hajduk podpełznął w górę, poczém zaczął rozwijać kłębek.

Nagle pan Kaźmiérz wzdrygnął się i szepnął:

— Co to jest? Czy tam co stoi? A stoi. Człek jakiś. Akurat naprzeciwko mnie! Rusza się... A no, przecie odchodzi. Gdzie tam! Znowu wraca! A to miły kawaler, chodzi sobie tam i sam pod gankiem. Boże mój! A toż to ten lotr Ollender! Ten zawsze musi mi w drogę włazić... Czy go tu stary na szyldwachcie postawił, czy co?

W tém ostatniém domniemaniu pan Kaźmiérz się mylił. Był to istotnie Kornelius, ale jeżeli przyszedł, to bynajmniéj nie z rozkazu pana majstra. Owszem, pałał on do niego ciężką złością, i za razy odebrane rano, i także, a nawet przedewszystkiém, za uwięzienie He-

dwigi. Ach, co złości było w jego sercu! O panu Kaźmiérzu i myśleć już nie mógł, pienił się na samo jego wspomnienie. A i do niéj miał także sporo żalu, chociaż, prawdę mówiąc, jeszcze więcéj tego żalu było nad nią, niż do niéj. Miotany wstydem za swój przeszłonocny uczynek, rozpaczą nad losem uwięzionej, po całym dniu, przemordowanym nad przymusową pracą, czuł, że dłużéj w domu nie wytrzyma, i uprosił Minę, aby mu jeszcze pozwoliła pozostać na ganku. Wiedział, że Mina musi zawsze długo w noc szorować i pucować, zanim zdoła po wieczerzy doprowadzić znów kuchnię do jéj złotego blasku, prosił więc:

— Ja tu jeszcze troszkę posiedzę na chłodzie, bo głowa mię tak łupie, że w izbie gotowa pęknąć. Jak skończysz twój glancunek, to mi drzwi odemkniesz i wrócę.

Posiedział tedy jakiś czas na ławie, ale i tego było mu za mało; jak wszyscy zakochani, chciał patrzéć w okno swojéj lubéj. Ach, smutne okno! Więzienne! O, gdyby mógł tam się dostać! Uwolnić ją! Powiedziéć jéj: „Uciekajmy!“ Kto wie? Za taką przysługę możeby uzyskał choć uśmiéch wdzięczności? A może i nie?... Możeby wolała cierpiéć wieżę, niżeli z nim uciekać? O, gdyby nie tamten! Dyabli przynieśli tego nawiganta, co, jak wąż morski, wkręcił się do domu i wszystko wszystkim zaburzył! Monstrum jakieś wodne! Zbrodzień, co śmiał do ust jéj sięgać, kiedy on, Kornelius, nie śmiał nigdy nawet brzegu jéj sukienki się dotknąć!

Tak utyskując, to stawał naprzeciw Bursztynowego

Domu, to przechodził tam i napowrót przez ulicę, a wciąż klął pana Kaźmiérza, który wzajem klął go na dachu.

— Maciek, jesteś tam?

— Słucham Wasę Miłość.

— To nieszczęście, żem ja nie wziął rusznicy; zarabym ją w tego szpiega wyrychtował.

— Ej, Wasa Miłość, chyba nie.

— Jakto nie? Czemu nie?

— Bo jakby pukneno, toby sę caluśka ulica zerwała na równe nogi.

— To prawda. Czasem i głupiemu przytrafi się racya. Ale co tu robić? Przecie nie mogę czekać do rana? Ja już i momentu nie mogę czekać, bo jak straże zmienią, to i po wszystkiém. Żebym ja miał choć kamień, tobym cisnął i łeb mu roztrzaskał. A, już wiém! Kawał muru oberwę, to niegorsze od kamienia.

I już zaczął próbować, czy esowaty murek nie da się nadłupać, gdy, na szczęście, niebezpiecznéj téj roboty oszczędziło mu nowe nadejście nocnego stróża, który powracał dla sprawdzenia, czy wszystko jest pogaszone i zamknięte.

Na odgłos jego grzechotki, Kornelius szepnął:

— Oho, Grubasek idzie, będzie mię gnał doma, trzeba zmykać.

I skręcił w jedną z bocznych ulic.

Kuba Grubasek zbliżył się ciężkim krokiem, zagrzechotał raz i drugi, popatrzył w ciemne okna i przeszedł.

— Maciek, dawaj linkę, już można.

— A jak tamten wróci, to co?

— To będzie miał swoją śmierć na własném sumieniu, bo ja wiem, że nie wyjdzie żyw, kto zobaczy, co ja teraz robię. Ale ty patrzaj za nim i gadaj mi, czy wraca.

Maciek wytknął głowę i zaczął się śmiać.

— Nie wraca łojdak, idzie het w ulicę, widzę go po miesiącu, het, daleko! Idzie prec! Oho! Juz mi zginon... Gdzie un? Przepad, jak ten kamień w wodę.

Istotnie, Kornelius uczuł, że szybsza przechadzka na wietrze ochładza mu rozgorzałą głowę. Był pleczysty, miał kij sękaty w ręku, nie bał się przechodniów, którzy jego raczéj mogli się ulęknąć, więc pomyślał:

— Przejdę sobie kołem aż do Placu i drugą stroną wrócę doma.

Bardzo to dobrze złożyło się dla pana Kaźmiérza, który co żywo rozpoczynał robotę. Z marynarską wprawą zadzierzgnął na linie szerokie, luźne oko i rzucił je w powietrze tak zręcznie, że wystająca szyja smocza została nań uchwycona, jak na arkan. Pozostały od téj strony koniec liny przyczepił do komina, sterczącego na dachu, zakręcił go tam kilkakrotnie i w uczony węzeł zaplątał. Potém zaczął linę rozwijać, rozwijać i powoli spuszczał ją na taras. Gdy wszystka z rąk mu się wymknęła, rzekł półgłosem:

— No, już dobrze. A teraz, Maciek, słuchaj na oba uszy, bo to ważne, coć powiém.

— Słucham, panie poruczniku.

— Jak tylko będę na dole, zaraz mi tę linę wyhissuj

napowrót. Nie masz co jéj odwiązywać, zostaw na dachu, byle z dołu nikt jéj nie obaczył, bo toby zrobiło alarm, i wtedy wszystko przepadło. Więc wyciągnij, zostaw tu, sam uciekaj bez kamienicę pani Flory, dopadnij konia i doganiaj mię, a żywo — inaczéj, bramę ci przed nosem zamkną. Cóż, rozumiész?

— Słucham Wasę Miłość, a dyć wyrozumiał ja.

— No, więc dobrze. A teraz... W Imię Ojca i Syna... w drogę!

To mówiąc, przeżegnał się i stanął na murku.

Maciek pochwycił go za nogi.

— O la Boga! Cekaj Wasa Miłość! Taka wielachna chmura załazi na miesiąc... Opsnie wam się noga... O la Boga, moje panisko!

W przestraszonym głosie Maćka tętniło tyle przywiązania, że pan Kaźmiérz tylko się roześmiał.

— Głupiś, Maciek! Czy to ja nie stary chłopiec okrętowy? A czy to sam Pan Bóg nie mówi w Piśmie Świętém: „I na smoku jeździć będziesz". Owóż, i ja pojadę. A że chmura załazi, to właśnie dobrze; jeśli jakie ślepie mię wypatrują, to nic nie podpatrzą. No, puszczaj, bo cię zepchnę z dachu precz.

Maciek puścił, i ani się spostrzegł, a już jego pan siedział na złotym smoku, potém podwinął się pod niego, chwycił linę i zawisł w powietrzu. Lina, nie zbyt gruba, ale bardzo mocna, skręciła się i wyciągnęła pod jego ciężarem, przez co węzeł na szyi smoczéj zacisnął się jeszcze silniéj.

Po chwili pan Kaźmiérz już był przy okrągłém okienku, gdzie szepnął:

— Jadwiśko! Jesteś tam?

— Jestem! Ach jestem! Tak czekam!... Czy tamten poszedł?

— Poszedł. Nie bój się. Wszystko dobrze. A teraz wylatuj, moja ptaszyno, jeśli tylko potrafisz się wydostać.

— Potrafię, potrafię... Do ciebie, to choćby i przez piekło!

Właśnie chmura zeszła z księżyca, który ogromnym blaskiem uderzył na ścianę. Pan Kaźmiérz, kołysząc się z liną, to był daléj, to bliżéj kamiennego pierścienia. W jednéma z owych przybliżeń dwie białe, obnażone rączki wytrysły z okienka, objęły go za szyję, potém wyjrzała główka ujęta w małą krézę, potém pierś toczona.

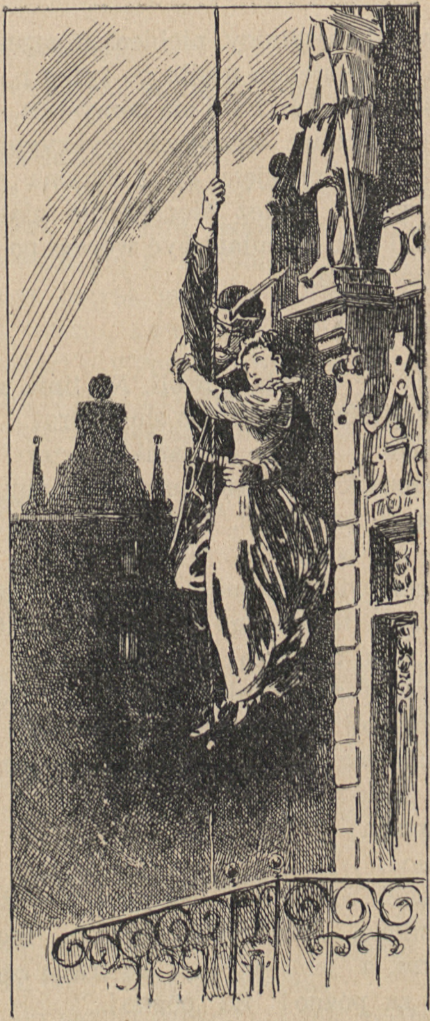
Kaźmiérz odjął od liny jedną rękę i wpół ujął wychyloną postać.

Wierny sługa zasłonił sobie oczy — nie chciał widziéć, co się daléj stanie.

Jednakże nic złego się nie stało.

Hedwiga była tak szczupła, wiotka i sprężysta, że cała postać jéj wyfrunęła z pierścienia, jakby rybka, prześlizgująca się przez kluczkę sieciową.

Sam téż jéj ciemiężca przyłożył się niechcący do ułatwienia téj ucieczki. Chcąc srodze umartwić uwięzioną, majster kazał jéj zabrać owe piękne ale sztywne suknie, w jakich powróciła z Artusowéj zabawy, a natomiast, przez płaczącą Minę, posłał jéj najskromniejszą z jéj wszystkich sukienek; był to mętlik, rodzaj rannego pod-



Spuszczają się powoli, a Kaźmierz o węzły kolejno się opiera.

włośnika, z białéj bawełnicy, niebieskim sznurem w pasie przewiązywany. Panienka nosiła go tylko po domu, przy zajęciach gospodarskich, i ani się domyślała, że jéj w nim stokroć ładniéj, niż we wszelkich wykrygowanych bławatach. Dziś rano przyjęła go z utajoną radością, bo ta miękka i wązka odzież niezmiernie ułatwiała przebycie okienka. I tak, co miało być worem pokutnym, stało się szatą wyzwolenia.

Spuszczają się powoli, powoli. Na linie są porobione węzły, o które Kaźmiérz kolejno się opiéra.

— Jadwiśko — szepce — zamknij oczy i nie bój się.

Ona od początku już zamknęła oczy, aby nie widziéć téj przerażającéj przepaści. Odpowiada mu:

— Ja się nie boję.

Ale w rzeczywistości boi się okropnie. Twarz ukryła na jego piersiach, trzyma go się z całych sił i drży.

Nagle — i on zadrgnął...

Usłyszał piérwsze dźwięki trąb i fletów, rozpływające się z wieży Świętéj Katarzyny.

Ona uczuła jego drgnienie i pyta struchlała:

— Co się stało?

On odpowiada:

— Nic, nic...

Ale w oczach robi mu się ciemno. Te dźwięki prześliczne, ciągnione, srebrzyste, brzmią łagodnie dla wszystkich uszu, a jemu wydają się trąbą sądną, co powtarza: „Już za późno! Za późno!...“

Jednak wrodzona dzielność szybko bierze górę. Junak powiada sobie po staremu:

— Jakoś to będzie!

I z podwojonym zapałem rozgląda się po swojéj drodze.

Patrzy na ścianę domu.

Już minął Gracye, których leciuchne wieńce, zblizka widziane, wiszą nad nim, jakby grube powrósla.

Już zrównał się z Karolusem Magnusem, którego kamienne oczy patrzą w niego dziwnie, jakby mówiły:

— Jedź śmiało, kawalerze! Audaces fortuna juvat.

Już się otarł o wypukłą kratę od okna dolnego...

Boże mój, dzięki Ci! Już czuje pod nogami twarde skręty liny, która, opadając na ganek, jak wąż się nawinęła.

O szczęście! Już dotknął ziemi!

— Jakiś ty waleczny! — szepcze z uwielbieniem Hedwiga.

— Co tam ja, nie dziw. Ale ty jaka waleczna! — odpowiada Kaźmiérz, stawiając ją przy kracie od ganku. W téjże chwili wszakże spostrzega, że panienka nie może utrzymać się na nogach.

— Jak ty pójdziesz, moje niebożątko? Ja cię chyba zaniesę.

— Nie... nie... chwilkę jeno odetchnę... poczekaj...

W téjże chwili muzyka umilkła. Zégary miejskie, jedne po drugich, zaczynają bić jedenastą.

Kaźmiérz porywa ją w objęcia.

— Już nie można czekać... I tak późno... Ach, żeby nie ten łotr Ollender, jużby my byli za miastem! A tak... ta brama nieszczęśliwa...

Hedwiga zaczyna rozumiéć nowe niebezpieczeństwo. Pod tém ukłuciem odzyskuje przytomność.

— Puść mię — prosi — już ja pójdę śmiało.

Zbiegli ze schodków, suwają się pod ścianami — już wpadli w ciemną przecznicę.

Gospoda Kaźmiérza niedaleko, na trzeciéj uliczce. Biegną prędko, jednak, nim dobiegli, już ostatni zégar wydzwonił ostatnie uderzenie.

Przy gospodzie, w mrocznym zaułku, człowiek jakiś milczący trzyma w jednej ręce długi rapier, drugą ręką przytrzymuje konia. Koń ubrany jest w siodło z płaskim, szerokim łękiem; łęk przykryty puszystą derką.

Pan Kaźmiérz, którego kordelas błyszczy dzisiaj po prawéj stronie, chwyta za rapier i przypina go do lewego boku. Przy spuszczaniu się po linie byłaby mu ta broń zawadzała, lecz teraz, na podróż, trzeba się dokładnie uzbroić. Już gotów. Skoczył w strzemiona, podnosi panienkę, sadza ją przed sobą i tak dobrze zakrywa burką, że ledwie jeden koniec jéj nóżki przegląda.

Jadą — przez ulicę jedną, drugą — wszędzie pustka.

Wyjechali na Plac Targowy. Stąd już droga do Wysokiéj Bramy jak wystrzelił.

Kaźmiérz puszcza konia szybciéj.

Czasem, z bocznych ulic, dochodzi go grzechotka nocnych stróżów.

— Teraz — myśli sobie — choćby się na nas natknęli,

to ich przeskoczę. Nie będę się bawił w pertraktacye. Piechty nas przecie nie dogonią?

I patrzy, patrzy na iglaste daszki téj osobliwszéj wieży, co poprzedza Wysoką Bramę, a która już przed nim czerni się na powietrzu, coraz czarniejsza, coraz wyższa i bliższa.

Czasem jednak spogląda i za siebie.

— Co to? Czy kto goni? — pyta z obawą Hedwiga.

— E, nie. Ja jeno patrzę, czy ten gamoń Maciek nie jedzie? Co on tam tak marudzi?

Ona nic nie odpowiada, tylko chowa się pod jego burkę, aby nie widzieć tych wysokich, niebotycznych domów, co tak dziwnie po nocy wyglądają. Przysięgłaby, że ze wszystkich okien tysiąc oczu złośliwie na nią patrzy, a to tylko księżyc miga tak po szybkach, uciekających z obu stron ich drogi.

Nakoniec zrobiło się ciemno — podkowy zatętniły pod sklepieniem — wpadli w jeden z widlastych przejazdów Hohe-Thoru.

Każmiérz wpatrzył się w głąb'... i nic nie dojrzał. Brama była zamknięta.

Jednakże, nie tracąc dobréj myśli, zawołał rozkazującym głosem:

— Brama! Otwiérać furtę!

Wybiegł jeden ze strażników z latarką.

— A co to? — spytał. — Już nie można.

— Jakto, nie można? Jeszcze wczas.

— A czy to pan łeficerz głuchy, że nie słyszał zegarzów i trąbek na kościele?

— Nie słyszałem — odpowiedział pan Kaźmiérz i upiérał się, że jeszcze niéma jedenastéj. Przez ten czas kilku innych strażników przybyło dokoła. On ich przekonywał ślicznemi słowami, a zarazem wsuwał im do rąk dukaciki, którymi już naprzód miał naładowaną kieszeń.

— A profos Koreywa jest? — zapytał.

— Niéma. Już obluzowan. Jeno co się zakręcił.

— A to szkoda. To mój znajomek. On-by mię wypuścił. On mię już nieraz puszczał, bo wiedział, że niechno ja się poskarżę do panów Szpiryngów, to cała straż miejska w puch wyleci.

Strażnicy spojrzeli po sobie z wahaniem. Jeden i drugi przekonał się już przy latarce, że, co trzyma w ręku, to najszczersze złoto, i pod wpływem téj świadomości jeden drugiego zaczął pytać, czy furta już naprawdę jest zamknięta?

W pana Kaźmiérza duch wstąpił na nowo, gdy nagle z bocznéj izby wyszedł naczelnik straży, człowiek mu nieznajomy.

— Co tu za harmider? — spytał groźnie.

Strażnicy oniemieli.

Kaźmiérz tłumaczył się uprzejmie:

— Każ mię Wasze puścić. Zabawił ja się trochę w mieście. Jak nie wrócę dziś jeszcze do Władysławowa, jak nie stanę rano do appelu, to będę pokaran. Widzisz Wasze, iżem jest z Wodnéj Armaty.

— Widzę to jeno, że niechbym puścił Waszmość, to



Naczelnik straży wziął latarkę i oświecił nią wystający trzewiczek.

ja będę pokaran. A co to Waszmość wieziesz do fortecy za trofea?

Mówiąc tak, naczelnik wziął latarkę i oświécił nią wystający trzewiczek Hedwigi.

W Kaźmiérzu krew się zagotowała. Miał ochotę trzasnąć śmiałka po ręku, skrzyczéć wszystkich i porozpędzać, i byłby to uczynił w każdéj innéj chwili, ale dziś czuł, że nie może robić burdy, coby wydała tajemnicę. Zakrył więc tylko nóżkę brzegiem swojéj burki, gniewne słowa w sobie zadławił i, pochyliwszy się do naczelnika, szepnął:

— Z żoną jadę.

— Aha! Z żoną? — powtórzył tamten, patrząc na niego drwiąco. — A to żonce będzie ciepléj nocować w mieście, niż na polu. Radzę Waszmości, wracaj zdrów do miasta, abo jedź do którego z burgemeistrów, przywieź mi passe-portę na piśmie, to każę otworzyć.

Pan Kaźmiérz przygryzł wargi. Znał się na karności wojskowéj, czuł, że niéma tu nic do zrobienia, i już przemyśliwał, czy naprawdę nie byłoby lepiéj wrócić do miasta i tam poszukać jakiego ukrycia, kiedy niespodzianie, od strony pola, ozwało się trąbienie podobne do rogu myśliwskiego, a potém gromkie wołania i hukania:

— Brama! Héj, otwiérać!

Jeden ze strażników odemknął kratowane okienko i odpowiedział z przekąsem:

— Już nie można. Czekajcie se, aż słonko wzejdzie.

Ale głosy nie ustawały.

— A cóż to, gburze jakiś, nie poznajesz-że? To ja, burmistrz Freimuth!

— I ja, burgrabia Steffens!

— I ja!

— I ja!

— A nie wiécie to, kpy, gdzie my jachali?

Naczelnik straży, przestraszony, rzucił się do furty, krzycząc:

— Dawajcie klucze! To panowie senatory wracają z polowania... Prędzéj, klucze! Most zwodzić co tchu! A wy wszyscy, z drogi!

Pan Kaźmiérz usłuchał rady i cofnął się z koniem w najciemniejszy kąt bramy, tuż przy furcie.

Nastało straszliwe brzęczenie łańcuchów; powoli most opadł. Już téż i klucze przykładano do furty; była ona dość wysoka, lecz wązka, tylko na jednego konnego. Gdy ją roztworzono, panowie senatory zaczęli wjeżdżać po jednemu, wszyscy kurzem okryci, śmiejący się, rozbawieni. Za nimi służba, z psami, sokołami, konno i pieszo. Most pod nimi tętnił, a echa sklepień rozlegały się od nawoływań, chichotań i trzaskania harapów.

Wśród téj wrzawy starszy łowczy krzyknął:

— Hej! Mało furty! Otwórzta i bramę, chocia do połowicy, bo i furgonik jest.

Rozwarto połowę bramy, wtoczył się wóz pełen zwierzyny, fasek, namiotków, kobierców i wszelkich myśliwskich przyborów. Za nim jeszcze ostatnia kupka służby.

Wszyscy przejechali — łańcuchy znów zagrały, most poszedł w górę i bramę napowrót zamknięto.

Naczelnik straży, rozglądając się z podniesioną latarką, zapytał:

— A gdzie ów kawaler, co to wiózł taką misterną nóżkę?

Strażnicy obejrzeli się po bramie: nigdzie nie było kawalera.

Jeden z nich wprawdzie dobrze widział, jak pan Kaźmiérz, zamieszany między służbę myśliwską, przesunął się tuż koło furgonu po moście, a potém zniknął za szańcami, ale sobie pomyślał:

— Hojny to pan, niechże sobie zdrów jedzie.

I zaczął opowiadać, jako ów kawaler zawrócił się do miasta, czemu wszyscy w końcu musieli dać wiarę, kiedy nigdzie go nie mogli znaleźć.

A Kaźmiérz tymczasem leciał już gościńcem, jak szalony.

Kilka razy obejrzał się niespokojnie. Gdy zobaczył, że nikt ich nie ściga, rozsunął burkę, spojrzał w twarz Hedwigi, przycisnął ją gwałtownie do łona i wykrzyknął:

— Wiktorya! Teraz jużeś ty moja! Moja! Moja na wieki!

I mknęli przez pola, jakby duchy.

Wicher targał jéj włosy, księżyc świecił jéj w oczy, a ona te oczy to przymykała, to roztwiérała z podziwieniem, pytając się saméj siebie, czy to sen taki dziwny? Czy to prawda, że ona, ta cicha, ta wiecznie przędąca panienka, dała się porwać i leci w świat nieznany?

I jakiś lęk panieński ogarniał ją napowrót.

Ale po chwili przypominała sobie, że ten, co ją porwał, to jéj zacny, jéj mężny, jéj ukochany Kaźmiérz, i wnet lęk ustawał, i znów przytulała się z ufnością do jego mocnéj, gorącéj, roztętnionéj piersi.

A on, cisnąc ją w objęciu, wykrzykiwał:

— Bóg dobry! Och, jak ja cię miłuję! Wiktorya!

Tak, wiktorya! Wyrwał ją z kamiennego pierścienia przemocy rajcowskiéj, wyrwał ją z kamiennéj obręczy murów miejskich, i oto lecą, jakby ptaki, wyżéj łanów szumiących, niżéj chmur pływających, lecą szczęśni i wolni, bo miłość ma skrzydła.

II.

Tak, — ale wszelka miłość ma skrzydła.

Jednakże, w najszaleńszym pędzie jazdy, wśród najzawrotniejszych uścisnień i upojeń, panu Kaźmierzowi ciągle przez głowę przelatywało niespokojne pytanie:

— Czemu ten Maciek nas nie dopadł? Czasu miał po uszy. Ceregielowali my się tak długo wedle bramy. Czy tam się co stało, czy co?

Istotnie, Maciek miał czasu bardzo dosyć na spełnienie pańskich rozkazów. To tylko nieszczęście, że był „maćkiem“.

Jak widzieliśmy, podczas napowietrznéj podróży młodych państwa, z serdecznego strachu o nich, zamknął oczy. Gdy je otworzył, już Kaźmiérz i Hedwiga zbiegali z tarasu.

Wtedy wzięły go nowe o nich strachy. A nuż Ollen-

der będzie wracał i wlézie im w drogę? A nuż Kuba Grubasek? Czy oni téż dobrną do gospody?

Dręczony niepokojem, położył brodę w kamiennėm wyżłobieniu pomiędzy esami, wybałuszył oczy i śledził ich ucieczkę. Ile razy nikli mu w czarnych smugach cienia, serce mu biło młotem. Ile razy wynurzyli się na światło, podrygiwał radośnie i powtarzał:

— O! Som jesce, som!

Nakoniec przepadli w czarnėm zagłębieniu. Trwoga dech mu zaparła. Po chwili usłyszał tętent, który w niezmiernéj ciszy nocnéj wyraźnie go dochodził. Potém dostrzegł nawet coś pędzącego po dalszych ulicach, bardzo żywo księżycem oświéconych. Ów cienik ruchomy, najprzód wielkości grochu, miał na ziarnko pieprzu, potém na ziarnko maku, aż znikł zupełnie, tylko jeszcze suche tętnienie podków dzwoniło czas jakiś w niewidzialnéj dali.

Podniósł ręce i mówił radośnie:

— Chwałaz Ci, Panie Boze! Pojachali scęśliwie! No, takiego mądrego pana, jak mój, chyba niéma na świecie.

Nagle chwycił się za głowę:

— O la Boga! A dyć to i ja mam jachać? A pon kazał wyhissować on śnor. Zagapił ja się trocha. E! Jeśceć ich dogunię. Jeno pociągnąć, i tyla.

Jedną ręką chwycił się za murek, drugą rękę spuścił aż pod smoczą szyję i zaczął linę ku sobie pociągać. Z początku szła bardzo łatwo. Nagle się zatrzymała.

— Co u licha? szeptał. — Cy się tam zahacyła w onym zielaznym płotku? Ciągnę i ciągnę, i nic. Chyba jom urwać, abo co?

I targnął linę z całéj siły. Ale wtedy uczuł coś dziwnego. Ile razy ją pociągnął w górę, tyle razy jakaś niewidzialna siła pociągała ją na dół.

— Cy to cary? Cy tam ją kto trzyma?

I wysunął głowę jak najniżéj, aby dojrzéć, co się dzieje na ganku.

— Jezu Maryja! A dyć trzyma! Stoi tam cłek jakowyś, abo ino bies... boć którendyzby zywy cłek tu przysed?

Mylił się on we wszystkich przypuszczeniach. Nie były to czary, nie był to bies — był to po prostu Kornelius, który, obszedłszy kilka ulic, wrócił od strony przeciwnéj, co sprawiło, że nie spotkał uciekających. Podczas gdy Maciek, zagapiony, spoglądał za niemi gdzieś w dalekość, on sobie najspokojniéj wszedł na ganek, zajął swoje „Kornelius-ruhe" i, czekając, aż Mina go zawoła, smutnie zapatrzył się w niebo.

Po chwili przetarł oczy... Jakaś krésa czarna przesłaniała mu sam środek tarczy księżycowéj. Przetarcie oczu nie pomogło. Spojrzał baczniéj, zdziwił się niezmiernie: krésa ta ciągnęła się od tarasu aż do samego dachu. Z początku nieruchoma, nagle zadrgała i zaczęła iść w górę. Wtedy zrozumiał, że to nie jest żadne przywidzenie, dał dwa susy, chwycił linę oburącz, przytrzymał ją, podniósł głowę — a gdy nad smokiem zobaczył migocącą rękę, zaczął krzyczéć z całych potężnych piersi:

— Złodziéj! Mina, jesteś tam? Kuba, do mnie! Łapaj złodzieja! Stróże! Hej! A ty, łotrze, zejdź-no mi tu zaraz!

I pod wpływem téj przyrodzonéj skłonności, co we wszelkiém uniesieniu każe nam wracać do rodzinnéj mowy, zaczął po holendersku kląć na czém świat stoi.

Ale i Maćka wzięły złości.

— Nie dam ja się tobie, Miemce jakiś! — powtarzał i linę precz do siebie ciągnął.

Wkrótce też nie z nim jednym już miał do czynienia.

Najpierwsza Mina, przerażona krzykiem Korneliusa, ukazała się we drzwiach, ze świécą w ręku.

Zaraz potém przypadł i Kuba Grubasek. Musiał on być gdzieś niedalcko, pewnie spał już sobie na wygodnéj ławie jakiegoś tarasu. Zaskoczony w tém niezupełnie sumienném spełnianiu swoich obowiązków, tém żywszą teraz chciał okazać gorliwość; nietylko więc pochwycił linę, ale zaczął się po niéj wspinać, co przy jego pękatéj tuszy zdawało się niełatwém. Ale Grubasek, choć grubasek, miał dużo kociego przyrodzenia i, mimo wstrząśnień liny, okręcał się coraz wyżéj, wołając swoim śpiewackim, przeciąganym głosem:

— Poczekaj, złodzieju, dam ja tobie! Poczekaj!

Nadbiegł i drugi stróż nocny, kościsty a wysoki Łukasz Trębacz, o wiśniowym ubiorze i uroczystéj postawie. Ten nie piął się na linę, ale podniesionym berdyszem groził owéj ręce, wystającéj z dachu, i starał się utrzymać porządek między publicznością, któréj coraz więcéj przybywało. W sąsiednich domach okna się otwierały z brzękiem, widać w nich było głowy niewiast, obrurkowane w białe nocne czépki, wodzące przestraszonemi oczami. Na ganki wysypywała się służba w pół odziana, za nią

panowie gospodarze wychodzili w szlafmycach, z kijem w ręku, pytając niecierpliwie:

— Co to takiego? Co się stało?

Jedni odpowiadali:

— Gore!

I głos ten leciał z ust do ust, szerząc niezmierną trwogę.

Drudzy uspokajali:

— Ale gdzież tam! To nic, jeno ktoś zabit.

Inni znów przeczyli:

— Nie zabit, jeno zrabowan. Cały Dom Bursztynowy obrabowan.

Wśród téj bieganiny i krzyków ukazał się majster Johann. Wyszedł, więcéj zdziwiony niżeli strwożony, a rozejrzawszy się w sprawie, zaczął wołać na drapiącego się wciąż pod górę Kubę:

— Zleź-że mi zara. Tamtędy go nigdy nie dostaniesz. Niech mi kto na dach pójdzie, to lepiéj. Hej, chłopcy, skoczcie co tchu!

— Ja go tam wytropię! — krzyknął Kornelius i wpadł do sieni, a za nim chłopcy czeladni puścili się hurmem, radzi, że taka zabawa im się trafia.

Grubasek nie dał się przekonać, ale wciąż wisiał u liny, a widzowie, zgromadzeni na przeciwległych gankach, zachęcali go wykrzykami:

— O! Jest!... Widać mu głowę! O! Teraz ręką macha! Śmiało Kuba, łapaj!

Majster, zapatrzony także w górę, powtarzał ciągle:

— Ale czego ten człek tam chciał?

— A no czegoż? — odpowiadano wkoło. — Wié, że skarby są u Waszeci, chciał wleźć. Nie mógł drzwiami, to jakowém oknem.

— Aleć łacniéj mu było z beiszlagu, po drabce, niż tamtędy na złamanie karku.

Nagle uderzył się w czoło.

— Herr Gott! — wykrzyknął. — Czy to nie po nią? E! Niepodobna rzecz... a wszelako...

Tu wyrwał świécę z rąk Miny, rzucił się do sieni i zaczął pędzić po schodach z takim gwałtem, że na ulicy słyszano, jak stopnie pod nim dudniały.

Tymczasem Fruzia, wysłana przez wystraszoną panią Florę, czyniła nadludzkie wysiłki, ażeby od wołać Maćka. Najprzód wysunęła się do pasa ponad klapę, ale gdy stamtąd było jéj za daleko, wyskoczyła na dach wdowiego domu, wbiegła na drabinkę i, wytknąwszy głowę, szeptała:

— Pst! Pst! Maciek! A ty głuptasie, słysz-że!

Maciek, oparty o komin, z całych sił przytrzymywał linę, która pod ciężarem Grubaska wysuwała mu się nieustannie, a tak był zacietrzewiony tą robotą, że nie zaraz usłyszał wezwanie.

Nakoniec odwrócił głowę.

— Cego?

— A no, chodź-że!

— Nie mogę. Pon kazał wyhissować śnor.

— Ależ, ty ośle jakiś, po cóż to pan kazał? Po to, aby nikt liny nie obaczył. A jak raz obaczyli, to już przepadło.

Maciek otworzył wyłupiaste oczy.

— A dyć to prowda.

— Puść-że ją do licha i uciekaj!

— A jakoz ja pona dogunię, kiej ulica pełniusieńka narodu?

— A już nie o gonienie tera rzecz, jeno trza im się wypsnąć. Już ja cię tak dobrze schowam tu w mojéj komórce, że i sam kat cię nie wynajdzie. Puść i zmykaj, bo jak cię zlapią a wezmą na pytki, to ci będzie ciepło.

Maciek zrozumiał nakoniec rozpaczliwość swego położenia. Choć żal mu było ustępować z pola walki, roztworzył ręce, i wnet na ulicy rozległy się ogromne śmiéchy. Lina, niespodzianie puszczona, obsunęła się, warcząc, i Kuba chlupnął o taras całym ciężarem swojéj pulchnéj osoby.

Przygoda ta jednak nie ochłodziła jego żarliwości. Owszem, zawołał:

— A widzita! Już łotr się mnie boi, kiej puścił. Ale ja go nie puszczę. Gdzie mój bieret? Hej, dawajta mój bieret!

Podano mu szafirowy beret, który zgubił w upadku. Nadział go z fantazyą na ucho i znów zaczął piąć się pod górę, wygłaszając przechwałki:

— Oho! Nim tamci na dach wylézą, ja go tędy przycapnę. Abo to ja raz już wyłapywał złodzieje?

Ale Maćka już nie było na dachu. Fruzia co żywo go zepchnęła, drabinkę mu rzuciła, sama téż wnet znikła i klapę zatarasowała za sobą na wewnętrzne haki; w domu bowiem tak porządnickiéj, a razem i tak lękli-



Kuba chlupnał o taras.

wéj osoby, jaką była samotna wdowa, wszelkie wejścia i otwory miały szczelne zamknięcie.

Już téż był i czas na ucieczkę.

Właśnie Kornelius i chłopcy czeladni wynurzyli się z innéj klapy, wyciętéj w dachu Bursztynowego Domu. Ukazanie się ich na wysokościach zostało przywitane z ulicy wielkim okrzykiem tryumfu.

Kuba tylko jeden zmartwił się ich wtargnięciem na plac boju, gdzie koniecznie chciał dotrzéć pierwszy. Wobec Gracyi, zdumionych jego widokiem, zawisł na wpół drogi w powietrzu, namyślając się, czy daléj ma pokazywać, jak jest nieustraszenie wierny swojemu powołaniu, czy téż może już drugim ustąpić wieńca zwycięskiego.

W téj niepewności krzyczał:

— A cóż? Macie go tam?

Kornelius i chłopcy biegali po lętniącym dachu, jakby oparzeni. Zaglądali w kominy: niéma nic. Rzucali okiem na sąsiednie dachy (oba dużo niższe), a nie widząc tam ani drabin, ani żadnych śladów ucieczki, zachodzili w głowę, gdzie się podział ów niepochwytny złoczyńca? Kornelius przesunął szyję między zakrętami dwóch esów i pytał:

— Czy zlazł po linie? Bo tutaj go niéma.

Pomiędzy publicznością powstał śmiéch szalony. Coraz więcéj świéc latało w oknach, coraz więcéj ludzi tłoczyło się na gankach, podziwiając przemyślność złodzieja.

Ale nagle w tę wesołość uderzył istny piorun.

Majster wyleciał z domu, jakby waryat. Trzymał się za głowę i krzyczał:

— Hedwiga! Hedwiga! Wziął mi Hedwigę! To on! On!... Ja wiem kto!

Mina, cała drżąca, przystąpiła:

— Herr meister, nie może to być. Jam sama drzwi zamknęła.

— Głupiaś, babo. Nie drzwiami ona wyszła, jeno tamtędy.

Tu pokazał małe okrągłe okienko.

Na te słowa, wszyscy zadarli głowę. Powstał jeden okrzyk podziwu.

— O o o!... Tamtędy? Jakoż to może być? Taką małą dziurką? A toż chyba czary?

Co prawda, widziany z dołu i przy niepewném księżycowém świetle, kamienny pierścień wydawał się jeszcze nierównie mniejszym, niżeli był w istocie.

W téj chwili przyciszonego zdumienia rozwarły się drzwi sąsiednie; wybiegła z nich pani Flora, cała w bieliźnie, z rozpuszczonymi włosami, jak osoba ze snu wyrwana. Toczyła błędnym wzrokiem i pytała:

— Co to? Napaść? Ogień? co?

Majster Johann przechylił się z jednego tarasu na drugi.

— Nieszczęście — rzekł. — Hedwigę mi porwał. Niéma jéj.

— Co gadasz Waszeć? Wszakeś sam ją zamknął? Którędy?

— Którędy! Którędy! — powtarzał z gniewném uniesieniem. — Wszyscy to samo! Którędy? A no, tamtędy!

Pani Flora podniosła niewinne oczy.

— Wolne żarty, panie rajco. A toć kobiéta nie węgórz. Jakżeby tam przeszła?

Sto głosów ją poparło.

— My téż to wszyscy gadamy.

— Gadajcie sobie, a ja co wiem, to wiem. Po co by ta lina wisiała? Hę?

W téj chwili Kornelius wypadł z domu, wołając:

— Na dachu go niéma. To jakiś mądry złodziéj...

Pan Schultz położył mu rękę na ramieniu.

— Słuchaj, to nie prosty złodziéj. On wykradł — Hedwigę.

Kornelius chwycił się za włosy.

— Aha! — wymówił przez zaciśnięte zęby. — To on! A gadałem! Jezuity porwały ją do klasztora.

— Bydlę z ciebie, Kornelius. Wiem ja, do jakiego to klasztora, wiem! Do Władysławowa.

Pani Flora struchlała. Dla odwrócenia uwagi pana majstra zaczęła krzyczéć i mdléć.

Ale majster ani zważał na nią. Chodził po ganku, jak dziki zwierz po klatce, machając rękoma i bijąc się w czoło.

A ludzie pytali:

— Kto taki porwał? Czy ten młody, co to tu zawdy siedział na beiszlagu? Ten od Wodnéj Armaty?

— Co? Ten cudny, z wąsikami? — szeptały kobiety.

— A to chwat! — półgłosem chwalili mężczyźni. — Ba! nie dziwota! Wolała młodego zucha, niż tego starego piérkosa.

I nagle prąd współczucia dla młodéj pary przeszedł po całym tłumie.

Majster Johann uczul to nieprzychylne dla siebie poruszenie. Wyciągnął pięść i zawołał:

— Herr Gott! Trzebaż coś robić! Niechże mi kto pomoże, bo tu nie kto pokrzywdzon, jeno ja!

Kuba się przybliżył:

— Panie radny, ja pańdę, zadzwonię na kościele.

— A co mi po dzwonach? Dzwoń umarłemu. Dla mnie czego trzeba, to konia!

Tu zbliżył się Kornelius.

— Panie meister, u nas w Amsterdamie...

— A bierz cię licho z twoim Amsterdamem! Co mi tu Amsterdam pomoże?

— A pomoże. Pan meister powiada: „Trza coś robić". U nas w Amsterdamie, kiedy łotr porwie niewiastę, to go ludzie topią w kanale, jak szczenię.

— A dobrze, i ja go utopię, w Motławie, w morzu, we krwi, w czém chcesz, jeno mi go daj! Ha, jak go dostać? Żebym konia tylko miał, tobym go dogonił, choć on już daleko, za miastem! Dalibóg, dogonię!

Tu pani Flora nagle wyszła z omdlenia i ozwała się:

— Pleciesz Waszeć trzy po trzy. Jakoż on ma być za miastem, kiedy bramy już dawno zaparte, a on tylko co umknął? Szukaj Waszeć, szukaj, ale w mieście.

— Prawdać to, wdowa dobrze gada — ozwały się różne głosy.

I Kornelius, w myśli zestawiwszy wspomnienia swojéj nocnéj przechadzki, poparł jéj zdanie.

— Tak — mówił — kiedy ów łotr uciekał, to właśnie grali na wieży. Przede graniem liny tu nie było.

Pani Flora uradowała się niezmiernie tém poparciem, przychodzącém ze strony, skąd najmniéj mogła się spodziewać pomocy, i już sądziła, że jest blizką tryumfu.

Na nieszczęście, w téjże samej chwili Fruzia do niéj przypadła i szepnęła jéj w ucho głosem, drżącym od strachu:

— Pani... pani... niech pani wraca doma...

— Co znowu?

— Jakiś drab miejski wpadł do nas i powieda, że złodziéj pewnie w naszym domu się chowa.

— Co za drab? Wszak widzisz, Kuba i Łukasz tu stoją.

— A ba! Żeby to który z naszych, tobym sobie dała z nimi radę, ale to jakiś starszy, nieznajomy... Chce nam cały dom przetrząsać, niby wedle naszéj przezpieczności.

— O, to źle... — syknęła pani Flora i zwróciła się ku swoim drzwiom co żywo, nie bez żalu jednak, że nie mogła do końca doprowadzić swojéj rozprawy z panem Schultzem.

Ten wcale nie dał się stropić. Owszem, fukał coraz gwałtowniéj:

— Gadajcie wy, co chcecie, a ja powtarzam: nie taki on głupi, aby miał nocować w mieście. Że bramy zamknęli, to nie racya. Niby to nie można wejść w konszachty z bramiarzami? Niby to przekupnych ludzi mało? Ha no, co robić? Trza iść do którego burgemeistra, prosić o konie i żołnierzy. Ale budzić, prosić, to rzecz długa. Żebym jeno miał konia! Dobrzy ludzie! Nie da mi tu kto konia? Wszakże je macie w podwórkach. Ja zapłacę, i grubo. Zmiłujcie się! Ja człek nieszczęśliwy!

Nikt się nie odezwał.

Gdyby w skargach i prośbach majstra była brzmiała boleść ojcowska, ta boleść, co rozdziera wnętrzności, głos jego byłby niezawodnie porwał wszystkie serca. Ale tam brzmiała tylko zajadłość okradzionego sknéry i wściekłość pogardzonego zalotnika, dwie złości, na których upokorzenie ludzie radzi patrzą. To téż nikt nie odpowiedział. Niektórzy nawet uśmiéchali się złośliwie.

Jednakże jakiś geniusz, wrogi młodéj parze, musiał usłyszeć błagania pana Schultza, bo ten jeszcze nie zdążył ich powtórzyć, a już w pobliżu zadzwoniły podkowy, i nad głowami tłumu pokazało się kilku jeźdźców.

Byli to ci sami myśliwcy, dla których otwierano furtę Wysokiéj Bramy.

Nie wszyscy. Niektórzy podążyli w inną stronę miasta, furgon téż już był odprawiony. Tu zbliżali się tylko dwaj panowie z Senatu, burmistrz Freimuth i wójt Hans Hecker, którym droga do mieszkania przez tę właśnie ulicę wypadała. Za nimi jechało pięciu ludzi ze służby.

Widząc tak niespodziane zbiegowisko, pan Krzysztof Freimuth naciągnął brwi Jowiszowe, zatroskany wielce obawą, czy nowa jaka walka stronnictw nie zaburzyła miasta. Podniósł się na strzemionach i krzyknął swoim burmistrzowskim głosem:

— Co to? Z drogi, ludzie! A co to się stało? Gdzie tu stróże nocne?

Guba i Łukasz przyskoczyli z obu stron do konia i stali zatrwożeni, kręcąc birety w ręku.

Zanim się zdobyli na opowieść wypadku, pan maj-

ster wydał krzyk radosny, jak tonący, który spostrzega deskę, zbiegł z tarasu, rzucił się ku jeźdźcom i wołał:

— Panie burgemeister! Panie wójcie! Pan Bóg was przysyła! Sprawiedliwości! Łotr mi wykradł Hedwigę! Moje dziecko! Moją pupilkę! Mój skarb! Panie Krystof! Panie Hans! Bądźcie moimi zbawcami! Pomóżcie!

Tu jeden ze strzelców burmistrzowych podjechał i, śmiejąc się od ucha do ucha, zawołał:

— A to pewnie ten kawalir, co my się na niego natknęli w samej Hohe-Thor?

— Jaki kawaler? — pytał burmistrz.

— To Wasza Miłość nie widział? A to było pocieszne. Jeno roztworzyli całkie skrzydło we wrotach, wedle przepuszczenia wozu, a tu z bramy leci coś na nas, kieby furyat. Jak się otarł kole mnie na moście, tak aż mu burka w bok furknęła, i ja wonczas obaczył, co na łęku ma dziewczyninę. Tedy ja mu się w oczy roześmiał, o tak! A on nic, jeno zęboma na mnie zgrzytnął, płaszczysko nasunął i, kieby dyabeł jaki, poleciał w pole het, a my się całą drogę naśmiali.

— Herr Gott! — krzyczał majster. — Oni się śmieją, a tu jest nieszczęście! Panie Krystofie! Sprawiedliwości! Miłosierdzia! Daj mi konia i ludzi! Każ otworzyć bramę! Ja jeszcze ich dogonię!

Burmistrz Freimuth, który miał szczerą życzliwość dla pana rajcy Schultza, zabolał serdecznie nad jego nieszczęściem.

Ach, czemuż tu w téj chwili nie było pani Flory? Jéj głos, tak mile zawsze słuchany przez pana Krzysztofa, byłby może zdołał udaremnić jego potężną pomoc. Ale

przekorne losy chciały inaczéj. Przez nikogo niepowstrzymywany, burmistrz odpowiedział bez namysłu:

— Zacny panie Johann! Nietylko dam ci konia i ludzi, ale sam z tobą pojadę aż do bramy, aby wam ją bez mitręgi otworzono. Pupilkę ci wykradli, powiedasz? A pfe! Nie pozwolę ja na taką nieuczciwość. Hej! Dawaj tu który konia!

Słudzy się poruszyli, ale w tęż chwilę Hans Hecker, który swoją ryżą głowę krył dotąd za plecami burmistrza, zeskoczył z siodła i zapraszał:

— Służę moim konikiem, służę.

— A na czém Waszmość wrócisz doma?

— Ja? Na piechotkę. Mój dom tuż... o dwa kroki.

Tak się tłumacząc, pan wójt, który nie lubił być zamieszanym w cudze biédy, zostawił konia i sługi na odczepkę, a sam sunął swoim łasiczym chodem i niepostrzeżenie przepadł w tłumie.

Przez ten czas majster już dosiadał jego siwosza i pędził, jak szalony.

Burmistrz i służba za nim.

Jeden tylko wójtowski strzelec, widząc umknięcie swego pana, wahał się w niepewności, gdzie ma jechać: za nim? czy za tamtemi?

Kornelius przyskoczył do niego z roziskrzonym wzrokiem.

— Frycku! — rzekł. — Daj mi twego konia... na godzinę! I jeszcze coś... tę rusznicę! Ja ci duszę dam za to!

— Duszę jak duszę — odparł tamten. — Ale za rixdalla to i oddam.

— Trzy dostaniesz jutro, jak oświtnie, jeno dawaj! Czy nabita?

— Nabita. Masz i siadaj.

Kornelius dosiadł konia, wziął rusznicę i pognał za biegnącymi.

Dopędził ich pod sklepieniem Wysokiéj Bramy, w chwili gdy burmistrz krzyczał:

— Hej! Bramę otwiérać! To ja, burgemeister Freimuth!

Na tak wszechwładny rozkaz, ruch wielki powstał między strażnikami. Jedni biegli po klucze, inni wzięli się do spuszczania mostu; łańcuchy zaczęły w górze warczéć.

Przez tę chwilę oczekiwania burmistrz zagadnął dyszącego z niecierpliwości majstra:

— Dotąd wszystko łatwo. Ale teraz którędy Waszeć myślisz bieżéć? Dróg tu co niemiara.

— Ja? — wybąknął tamten. — A juścić na Nowe Ogrody.

— Co? Tak bez namysłu? Na oślep? A jak oni inną drogą pojachali?

— Już ja keine gadanie wiem, że nie inną, jeno tą.

— A to czemu?

— A gdzieby on ją chował, jak nie za fossami Władysławowa? I niech-no raz tam wjadzie, to już po niéj. Ale ja go dogonię! Odbiorę! Zabiję!

— Więc to człek rycerski?

— A ktoby jenszy? To ten hultaj od Wodnéj Armaty, co mi się w dom wkręcił, niby to jéj brat. Słuszny brat! Psu brat!

— Słuchaj Waszeć — mówił burmistrz głosem nagle zmienionym — jeśli to sprawa z rycerstwem Jego Kró-

lewskiéj Mości, to inaksza facyata rzeczy. Puścić was puszczę za bramę, bom dał parol, ale pod kondycyą...

— Co znów za kondycye? — ofuknął się majster z wielką złością.

— Nie fukaj mi tu Waszeć, bo ja burgemeister, ja responduję przed Królem za to, co wy wszyscy wyrabiacie. Odbierz swoją pupilkę, to ci wolno — jeno nie wdawaj mi się w żadne zabijatyki, słyszysz Waszeć? W żadne! Już i tak dosyć na nas krakają, że w Gdańsku wieczne tumulty i bójki. Waszeć zrobisz burdę, a potém całe miasto będzie za nią skwiéczało.

—To Waszmość myślisz, co ten furyat ją odda bez bitwy, z pocałowaniém ręki? Nie znasz go Waszmość, to dyabeł nie człek!

— A niech sobie będzie i dyabeł, jak was sześciu czy siedmiu nasiądzie na jednego, to żeby i Samson, nie wytrzyma.

Rajca nic nie odrzekł, tylko gryzł wargi, a konia coraz mocniéj przypierał do furty.

Burmistrz, niespokojny, obejrzał się na swoich ludzi.

— Słuchajcie! — rzekł. — Tamtego żywcem brać! Taki mój ordynans, żywcem!

— A kiedyby się chciał bronić, to co? — spytał starszy łowczy.

— To mu się odcinać, ale jeno tyle, aby was na śmierć nie zarąbał. A cynglów mi nie tykać, Boże broń! Związać i do miasta odstawić. Ale bez mordu, bo cała armia za nim stoi!

Potém, cichszym głosem, szepnął w ucho łowczemu:

— A gdyby chciał umykać, to nich sobie umyka zdrów. Byleście panienkę odbili, to i dosyć.

Poczém zakończył głośniéj:

— Zrozumieli wy?

— Zrozumieli. Stanie się wedle rozkazania — powtórzyli za łowczym wszyscy.

Wszyscy, oprócz jednego Korneliusa, który na samym końcu jechał cicho i pod szerokim giermakiem ukrywał ruszniczkę.

Już téż i most opadał, i furtę otwierano.

Majster pierwszy wyleciał. Za nim strzelcy, kolejką. Holender zamykał pochód, i to w niejakiéj odległości.

Belki pod nimi zahuczały.

Gdy znikli za wysokim wałem, burmistrz wydał ostatni rozkaz:

— Nie podnosić jeszcze mostu, hej! Czekać mi tu z kluczami, aż nazad przejadą!

Poczém sam do miasta zawrócił, ale zatroskany, nierad, że się wdał w tę sprawę, jechał wolno, ze spuszczoną głową.

Za to jego ludzie pędzili coraz szybciéj, porwani zawrotnym biegiem pana Schultza, który leciał na wyścigi z wichrem, szalejącym po roztworzystych polach.

. . . .

Ach, ten wicher! On to swoim szumem sprawił, że Kaźmiérz nie dosłyszał dosyć wcześnie tętentu nadbiegającéj pogoni.

Bo przestrzeń między nim a pogonią już z każdą chwilą się zmniejszała.

Wszystko, co zaszło w mieście od znalezienia liny, trwało w rzeczywistości nierównie krócéj, niż w opowiadaniu. Wszystko to gruchnęło, jakby rotowy ogień, — to też uciekający jeszcze i mili nie ubiegli, a już pogoń przebywała bramę.

Jednakże, gdyby pan Kaźmiérz był ciągle pędził z tą samą lotnością, z jaką rozpoczął swoją podróż, byłby pewnie pozostał niedościgłym. Ale on po niejakim czasie pofolgował nieco koniowi, a raczéj — wyznajmy — swemu sercu.

Ach, jakże nie spojrzéć czasem na te lica, które tulą się do jego łona? Jakże nie zamienić choć kilku słów szczęścia? Jakże nie uszczknąć choć kropli nektaru z tych ustek, co szepczą tak słodkie wyznania?

Te cienie chmur migotnych, te puste pola, te wichrzyste szumy, wszystko ich otoczyło taką samotnością, że im się wydało, że na całym świecie już nie było nikogo prócz nich dwojga — jakby lecieli w nieskończoność, gdzie nic im się nie oprze i nic ich nie zatrzyma.

. . . .

Nagle Hedwiga wychyliła się i zapytała:

— Co to jest?...

Jakiś łomot, niby spadająca lawina, runął po ich drodze. Groźne krzyki napełniły powietrze, i pełno rąk otoczyło ich, jakby sieć ruchoma.

Hedwiga krzyknęła głosem, w którym drgało najwyższe przerażenie... Poznała, wychyloną ku sobie, wściekłą twarz majstra Johanna. Wyciągnął ręce, otworzyste jakby kleszcze raka, chwytał ją wpół i chciał oderwać od Kaźmiérza. Ale ona jeszcze silniéj przykrępowała się do towarzysza.

Ten objął ją lewą ręką, a prawą szukał broni. Do rapiera nie mógł dosięgnąć, bo mu go postać Hedwigi zasłaniała, więc tylko podwinął rękę i wyciągnął kordelas.

Błyszczący nóż świsnął w górze i już opadał na gruby kark majstra. Byłby mu rozpłatał miękką szyję, bo zamach był junacki, ale jeden ze strzelców burmistrzowych podstawił swój berdysz i podbił Kaźmiérzowi rękę. Stal, zamiast uderzyć w szyję, obsunęła się po ramieniu majstra, którego gruby, wypchany rękaw rozdarł się i ciepłą krwią nasiąknął.

Kaaźmiérz gniewny zwrócił się przeciw strzelcowi, co mu podbił rękę, świsnął znów kordelasem i ciął na odlew; strzelec stęknął i znikł mu z oczu. Młodzieniec obrócił się ku innym, którzy go ze wszech stron chwytali. Chciał dosięgnąć tego, co mu wstrzymywał konia, ale że ten był spieszony, więc jeździec mierzył ostrożnie, w obawie, aby głowy końskiej nie zranić i ucieczki sobie nie zamknąć.

W téj chwili rozległ się za nim wystrzał.

Pan Kaźmiérz wydał krzyk dziwny, roztworzył ręce, piana różowa na usta mu wybiegła, zamknął oczy i w tył się przegiął.

Byłby spadł z konia, gdyby nie Hedwiga, która przy-

trzymywała go w gwałtowném objęciu, sama przytrzymywana ciągle przez podchwytującego ją majstra.

Już mu się kilka razy wyśliznęła, już Kaźmiérz, upadający z konia, pociągał ją za sobą, gdy pan Johann wpił swoją szponiastą rękę za jéj krézę. Twardy kołniérz zaczął ją dusić, jakby stryczek. Dla złapania powietrza, w tył przechyliła głowę, ale ręka wciąż dociągała kołnierz — w oczach jéj się zrobiło czarno, ręce obezwładniały — wpół zadławiona i zupełnie już bezprzytomna, padła na piersi majstra.

Ten porwał ją, posadził, a raczéj położył przed sobą, głowę jéj oparł na swojém rozkrwawioném ramieniu, konia zawrócił napowrót ku miastu, puścił się cwałem i znikł w ciemnéj nocy.

. . . .

Tymczasem pan Kaźmiérz runął z siodła.

Koń, przestraszony wystrzałem, krzykami, zamieszaniem, wyrwał się, poleciał wprost przed siebie gościńcem, wiodącym ku Oliwie, i przepadł w ciemniejących gąszczach.

Łowczy, który dotąd nie mieszał się czynnie do zajścia, lecz tylko, jako wódz baczny, kierował czynnościami drugich, teraz, dostrzegłszy leżącego, zsiadł co żywo, zbliżył się i pytał z wielkiém zatrwożeniem:

— Aleć on nie zabit?

Kornelius przysiadł na piersiach Kaźmiérza, przyłożył do nich rękę, roześmiał się twardo i odpowiedział:

— Zabit. Już mu niczego nie trza, jeno piasku na oczy.

Łowczy chwycił się za głowę i zaczął krzyczeć:

— A łajdaki! A nie mogli wy to go wziąć żywcem? Po co ta pukanina? Który strzelił?

— Nie ja!

— I nie ja!

— I nie ja!

Uniewinniali się słudzy.

— Więc tedy kto?

— A no ten, co siedzi na zabitym.

— Co Waść za jeden? Czyś nie słyszał zakazu pana burgemeistra?

— Nie słyszał ja nic. A choćbym i słyszał, tom ja nie pachołek burgemeistra, jeno socyusz pana Johanna Schultza. Jam na swoją rękę jachał i sam sobie rozkazował.

— Dobrze, dobrze. Ale jak będzie jawantura, to wszystko się na Waści skrupi. A będzie jawantura, obaczycie! Cała armia wodna pójdzie w krzyk. Dostanęż ja od pana burgemeistra nosa! No, a panowie łeficerze jeszcze miasto nam wyplądrują!

— O Jezu! — mruczał Kornelius. — Co tu gomonu o jednego chlystka. U nas w Asterdamie, kiedy złodziéj kradnie panny, to go burgemeistry same dają katu, a nie gardłują za nim. Panie strzelcze nie strzelający, wolałbyś ty mi powiedzieć „danke“, bo gdyby nie moja rusznica, toby ten nieboszczyk był tu was wszystkich wymordował. Jeno moment miał, a mało to nasiekł tym swoim nożykiem?

Łowczy obejrzał się po swoich ludziach i sprawdził z przyjemnością, że jednak żaden z nich nie poniósł ciężkiego szwanku. Nawet ów strzelec, tak ciężko cięty kor-

delasem, ocalał dzięki swemu szwedzkiemu kapeluszowi, który po wierzchu był obciągnięty niewinną pilśnią, ale wewnątrz miał duszę z mocnéj blachy. Ogłuszony gwałtownem uderzeniem, strzelec obsunął się był z siodła, ale głowę uniósł całą i teraz dosiadał znowu konia.

Wszyscy ich dosiadali, zapytując:

— A co z tym zabitym zrobić?

— Nic — odparł, machnąwszy ręką, łowczy. — Nie będę ja się onym trupem chwalił w mieście. Niech tu go sobie kto chce najdzie i co chce sobie myśli. Abo to mało ludzi ginie po różnych gościńcach? Jeśli przyjdzie do świadkowania przed sądem, to powiem bez ogródki, kto tutaj nabroił. Wszystko się na Waści skrupi. Ale sam umywam ręce od całéj téj historyi. My tutaj nic nie zawinili.

— Tak, tak, my nic nie zawinili — powtarzały gromadne głosy.

— A z tém wszystkiém nasłucham ja się od pana burgemeistra, oj nasłucham! Boże mój! Licho mię tu przyniesło...

Tak utyskując, łowczy odjechał zafrasowany. Wszyscy odjechali w milczeniu.

Kornelius ruszył ostatni. Jeszcze nawet kilka razy przystanął i obracał głowę za siebie, aby nasycić oczy widokiem swojéj zemsty. Potém nagle skoczył w bok z gościńca, spiął konia i, wszystkich wyprzedzając, bocznemi dróżkami puścił się ku miastu.

. . . .

A sztywne ciało Kaźmiérza, z twarzą nieruchomie zwróconą ku niebu, zostało na tém pobojowisku, samotne, jakby na pustyni.

Tylko chmury, czarno podarte, przesuwały się nad nim, jakby płaczki wiejące długimi kirami, — tylko księżyc przypatrywał mu się swojém okiem, okrągłém od podziwu i przerażenia, — tylko wicher jęczał nad nim przeciągle i, z jękiem tym przeleciawszy pola, uderzał na morze, chwiał okrętami, stojącymi w zatoce Puckiéj, targał ich liny i flagi, aż marynarze wpółzbudzeni przewracali się na twardych deskach, żegnali się znakiem krzyża i mówili:

— Jak też ten wiater osobliwszo zawodzi! Richtig tak, jakby nad kim desperował.

III.

Cudowne odkrycie.

Nazajutrz Dom Bursztynowy pozostał długo zamknięty — zaklęty — niedostępny.

Już od rana, co prawda, krążyły głuche wieści o jakiémś tragicznem zakończeniu nocnéj przygody. Wszakże nikt nie wiedział na pewno, co się stało. Z ganków i okien sąsiednich kamienic setki oczów, setki uszów zwracały się tam nieustannie, dla podchwycenia jakiejś oznaki lub odgłosu. Kupki przechodniów stały z głową zadartą, wpatrując się kamienny pierścień. Ale pierścień był ciągle pusty, w żadném z okien nikt się nie pokazywał, żaden jęk, ani krzyk, ani najlżejszy nawet szmer nie dochodził z wnętrza, i choć niektórzy znajomi poruszali kołatką, nikt im nie otwiérał. Już kumoszki zaczęły szeptać, że majster Johann wszystkich pozabijał i sam się powiesił.

Dopiéro po południu dobiła się tam pani Flora, która zawsze i na wszystko miała swoje sposoby.

Trochę popukawszy, zaczęła wołać:

— Mina, otwiéraj! Bo ja niosę dryjakiew dla pana konzula.

Zaraz klucz zgrzytnął, drzwi troszkę się uchyliły, wyjrzała z nich przerażona twarz Miny. Wdowa tak zgrabnie wparła się w tę szparę, że sługa musiała ją wpuścić do sieni, ale natychmiast drzwi napowrót zamknęła.

— Meister nie każe nikogo puszczać i okrutnie sierdzi się, co tam tyle narodu stoi. Ach! — mówiła daléj, podnosząc do nieba ręce. — Ach! Co się to u nas porobiło!

— Czy meister leży?

— Nie, chodzi po swojéj komorze, tam na drugim trepie, od podwórka, bo nie chce patrzéć na te ludzie, co mu dom napastują.

— Wiem, że porąban. Czy ta rana zła?

— Pono nie. Balwiérz opatrował i śmiał się, i gadał, że za dniów pięć abo sześć meister będzie zdrów. Ale zawdy biédny syka z bólu.

— A frajlein Hedwiga czy już wié, że pan Kaźmiérz nieżyw?

— A jakże, wié! Meister zara jéj to gadał, i ten paskudny Kornelius chwalił się przed nią, że go zabił. Oj, szkoda frejbittera! Nieładnie to było, że wykradał pannę Hedwigę, meister miał racyę, że ją gonił, meister ma zawdy racyę, ale po co ten Ollender go zabijał? Taki gładki kawaler! Taki szczodry pan!

Przez czas, gdy Mina utyskiwała, pani Flora, nic nie odpowiadając, szła szybko po krętych schodach. Stanąwszy na drugiém piętrze, wtargnęła bez namysłu do sypialni majstra Johanna.

Ten po swojéj pięknéj komnacie chodził ciężkim krokiem, cały nachmurzony; za każdym nawrotem przystawał i popijał piwa ze szklenicy, stojącéj pod oknem. Kabat miał nadziany tylko na jedno ramię. Lewa ręka, wpół obnażona, była u ramienia spowinięta chustami.

Na widok pięknéj wdowy, zmieszał się, zaczął kabat naciągać na piersi.

— Herr Gott! A jakoważ to siurpryza! A no, ja się wstydam.

— Nie wstydaj się Waszeć. Ja tu jako do szpitala. Chory medyków się nie wstyda, a ja dzisia medyk, co przynosi Waszeci cudowną dryjakiew na rany. Dawaj Wasze rękę. Cóż, bardzo boli?

— Boléć, boli. Co prawda, balwierz gadał, jako gruby rękaw mię salwował i jako nic niéma nadłupanego. Wszelako to rżnie i piecze dyabelnie.

— Ale bo to te balwierze zawsze do maści nakładą różnych papryków i chrzanów, byle — jako mówią — złe wypalić. Ja Waszeć chcę kurować po babsku. Mam tu plasterek turecki, co w nim jest i balsamus mekkański i one różne styraksy, takie, że jak przyłoży na rękę, to jakby ręką odjął. Siadaj Wasze, pokaż, nieboraku, rękę.

To mówiąc, mimo wahań pana majstra, odwinęła chusty i na widok jego rany zaczęła serdecznie jęczéć.

— Widzisz Wasani, co to ja cierpię dla téj głupiéj dziewczyny.

— Widzę, widzę... A mój Boże! Jakoż to można było płatnąć taką zacną rękę?

— A ja Wasani powiedam, co dałbym się może płatnąć i raz drugi, byle mię takie bieluchne rączuchny zawdy opatrowały — mówił rajca, który już zaczynał to-

pnieć i uśmiéchać się pod wrażeniem tych niewieścich starań.

Pani Flora przyłożyła plaster, dobyty ze złocistéj lewantyńskiéj puszki, potém z kieszeni wyciągnęła bandaż, długi, miękki, taki przepachniały lawendą, że w całéj komnacie rozeszła się woń jakby na łące.

Owijając go wkoło ręki, pani Flora powtarzała z wielkiém zawzięciem w głosie:

— A to zbój, co nam tak pokrzywdził naszego meisterka! A to zbój! Aleć dostał i on za swoje, niegodyasz. Teraz już ziemię gryzie, już! Dobrze mu tak.

Majster się zawahał.

— Już to — rzekł po chwili — że zarobił na swój koniec, to keine gadanie. Jam go tam nie chciał sam zabijać, aleć że Kornelius tak uczynił, to i dobrze się stało, a to dla dwóch racyi. Naprzód, że jakby nie ostał zarąban, toby nas był wszystkich w rumel zarąbał, bo straszny w nim siedział Erkul. A potém, niechby on był żyw, tobym ja nigdy już oka nie zmrużył spokojnie. Zawdybym się bojał, że on wróci po nią. A to był człek płodny w fortele, nigdyś nie wiedział, z jakiéj strony cię skubnie.

— A cóż ta głupia Hedwiga porabia?

— A cóż? Jak to ona. Lamentuje, desperuje i prosi się do klasztora.

— Gdzież ona jest? Zawdy na oném poddaszku?

— Oho! Nie głupi ja już tam ją wsadzać, aby mi całe miasto z okienka stumultowała. Zamknąłem ją w jéj komorze, a Korneliusowi przykazałem, aby stał na podwórku i patrzał ciągle w jéj okno, czy ona tam jakich excessów nie robi, bo to licho umié z oknami dokazywać i gotowe jeszcze na łeb skoczyć. Ale ja każę tam dać kra-

ty. Zaraz dzisia. Jużem posłał po tęgiego ślusarza. Ja w całym domu w okniech każę włożyć kraty. Chciała klasztora, będzie miała u męża klasztorek.

— Jakto, u męża? Czyżbyś Waszeć jeszcze chciał za żonę takową, co z gładyszkami latała po gościńcach?

— Ta-ta-ta! Latała! Że sobie przegalopowali spacyrem za bramę, to jeszcze niéma infamii. No i tak, Bogiem a prawdą, co mizerna dziewka może zrobić, jak ją mocniejszy gwałtem na konia wsadza?

Pani Flora miała ochotę uczynić uwagę, że niewiele musiało tam być gwałtu, gdzie porywana wychodziła okienkiem, z którego tylko przy bardzo dobréj woli można się wydostać, ale przycięła sobie usta i milczała.

Tymczasem pan majster, coraz bardziéj się zapérzając, wołał:

— Na cóż tedy ja ją gonił, i krew moją przeléwał, i tamtego zabijał, jak nie na to, aby ją miéć? Prawda, że nagrzeszyła, i grubo, aleć Ewangelia każe w sercu żywić misericordyę. Niechże mi się zasubmituje, a do nóg padnie, a zaobiecowa, jako mi będzie zawdy wierną żoną i sługą, to jeszcze dostanie pardon.

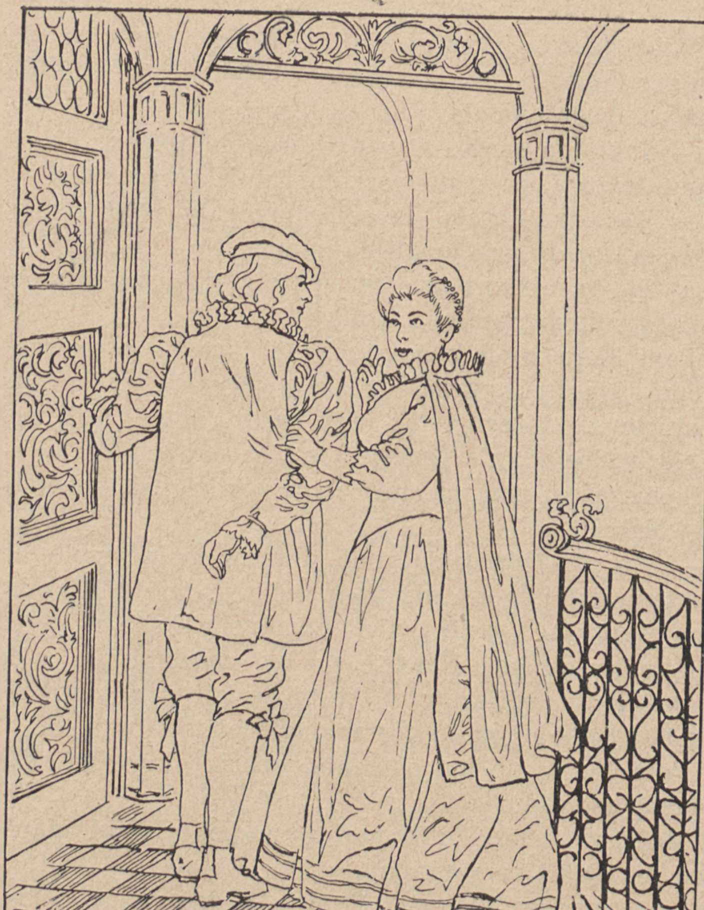
Pani Flora nic nie odrzekła, oparła głowę na ręku i mocno się zadumała.

Majster przeszedł kilka razy przez pokój. Nagle stanął przed nią, jakiś rozweselony.

— Czy wiész Wasani? Trudno to dać wiarę, a jest. Już ręka mniéj piecze.

— Chwałaż Panu Bogu! Żebym to ja mogła jeszcze i na duszną ranę Waszeci przyłożyć plasterek! A mogłabym.

— Co znów? Jakim sposobem?



— Puść mnię Waszeć do Hedwigi. Ja jej nakiwam.

— Puść mię Waszeć do Hedwigi, a ja ją do submissyi nakręcę.

Na twarzy pana majstra odmalowało się wahanie.

— Puść mię Wasze — powtarzała — ja jéj nakiwam, jako trzeba. Powiem jéj, niechże raz już wybije sobie z głowy onego młokosa, tém więcéj, że już umarł i żadne lamenta go nie wskrzeszą. A choćby i mogły wskrzesić, czy to nie większy onor zaślubić słusznego personata, niż takiego chudego sowizdrzała?

— O to to. Powiédz jéj Wasani, jak to ty umiész. A umiész, bo z Waćpani Salomon w spódnicy. A więc tedy pójdziem.

I, roztworzywszy drzwi od korytarzyka, szedł przodem na wyższe schody, a pani Flora, idąc za nim, błogosławiła go po cichu:

— Ej, ty sułtanie w lutrzéj skórze! Gruby kacie na mdłe panienki! Dostaniesz ty kiedyś sułtankę, co ci pokaże, jaka to miła rzecz niewola domowa. Oddam ci ja kiedyś za wszystkie, i za tę biédną Doroteę, i za tę małą Hedwiżkę. Ale tymczasem trza ją gwałtem wyrwać z jego szponów, bo ten smok połknie ją na poczekaniu. Jak Boga kocham, połknie!

Już byli na trzeciém piętrze, pode drzwiami panieńskiego pokoju Hedwigi. Majster wyjął z kieszeni klucz i, wkładając go w zamek, szepnął:

— Ja tu Waćpanią wpuszczę, a sam poczekam w komorze naprzeciwko, abyś Waćpani mogła się wydobyć, jak jeno zechcesz.

Mówiąc, drzwi odchylił, wdowę do wnętrza wpuścił i zaraz napowrót klucz za nią zakręcił.

Panieński pokój, choć prawie dla nikogo niewidzialny, był może najśliczniejszym z całego Bursztynowego Domu. Pani Dorota przez długie lata wystrajała go dla swojéj pieszczoszki, a i majster Johann, od śmierci żony i od chwili, jak spostrzegł, że w Hedwidze uroczą dla niéj znajdzie następczynię, kazał tam znosić wszystko, co miał najpiękniejszego w domu, najmiększe kobierce, najmalowniejsze makaty i najmisterniejsze sprzęciki. Hedwiga jaśniała tam zwykle, jak perła w tęczowéj konsze.

Ale dziś przepych otoczenia jeszcze mocniéj uwidoczniał rozpacz i opuszczenie mieszkanki. Siedziała ona nie na żadném z tych cudnych krzeseł, co jaśniały dokoła korduanem i stuwzorzystym forsztatem, ani na tém łożu o srebrnych wypukłych rzeźbach, nad którém zwieszały się kotary z błękitnéj kamchy, ale w samym środku pokoju, na kobiercu, skulona, z twarzą ukrytą w rękach. Miała na sobie ten sam jeszcze mętlik, pomięty, podarty i cały zakrwawiony. Byłaż to krew pana Kaźmiérza, zastrzelonego w jéj objęciu, czy krew majstra Johanna, co zranioną ręką ją przytulał? Pewnie jedna i druga razem. Kréza jéj rozerwana wisiała strzępami, włosy rozwinięte spadały w nieładzie, a wszędzie, i na krézie, i na włosach, i nawet na twarzy, straszna owa krew pozasychała w rude plamy.

Na odgłos klucza, Hedwiga podniosła oczy przerażone. Gdy poznała, że to pani Flora, wyraz niejakiéj ulgi objawił się na jéj twarzy.

— Patrz Waćpani — wymówiła głosem przerywanym od łkania — jaka ja nieszczęśliwa! Zabili go! A ja żyję! O czemuż i mnie już razem z nim nie zabili?!

Dobra wdowa przyklękła obok Hedwigi, objęła ją czule i rzekła półgłosem:

— Biédne ty dziecko! Co téż oni z tobą porobili? Ale nie płacz tak bardzo, ja tobie powiem coś takiego, co cię troszkę pokonsoluje.

Hedwiga spojrzała na nią oczyma pełnemi bezdennéj boleści.

— Mnie już nic nie może konsolować. Nigdy! Mnie już tylko pójść do klasztora i tam czekać, aż Pan Bóg da mi się w niebie połączyć... z nim.

— No, no, obaczym, aż ja ci powiem to coś. Jeno cię przestrzegam, od wielkiego dziwu nie narób mi tu czasem krzyku, bo tam za drzwiami może kto stojać i szpiegować.

Hedwiga machnęła ręką pogardliwie.

— A niech sobie szpieguje. Co mię to wszystko już obchodzi?

— A swoją drogą ja proszę: mityguj się, jak usłyszysz, i nie krzykaj.

Tu pani Flora, nachyliwszy się jeszcze więcéj, szepnęła jéj w samo uszko:

— Pan Kaźmiérz jest żyw.

Pomimo wszelkich przestróg, Hedwiga wydała źle przytłumiony wykrzyk, potém zarzuciła ręce na szyję pani Florze, całowała ją, ściskała bez końca i, wpół płacząc, wpół śmiejąc się, mówiła:

— Żyw? Żyw! O moja ty dobrodziko! Czy to tylko prawda? Żyw, ale czy na długo? Czy ta rana go nie zjé? Kto to Waćpani mówił?

— Ależ cicho, cicho! — przestrzegala tamta, kładąc jéj rękę na ustach. — Wszystko ci powiem kolejką, jeno po cichutku, bo tamten stoi na czaciech, a to przed nim sekret. Kto mi to mówił? A pan obersztер Zabokrzycki.

— Co? Widziałaś go Waćpani?

— A jakoż? Tylo co wychodzi ode mnie.

— I on widział pana Kaźmiérza?

— Widział, i bez niego pan Kaźmiérz kazał się Waćpannie kłaniać i prosił na Boga, byś jeno doczekała jego wyzdrowienia, a wszystko jeszcze po staremu się uda.

— Ach Boże! Boże! Ja jeno się bojam, abym nie zwaryowała ze szczęśliwości. Tedy go nie zabili? Ale zawdy poranion okrutnie...

— Medyk powiedział, co za kilka niedziel pan Kaźmiérz siądzie na koń.

— Ale gdzież on leży? Ach Jezu, żeby to ja mogła jemu rany opatrować, ziółeczka podawać, jako żonie się godzi! A tu nic, ach nieszczęście!

— Nie blasfemuj Hedwiga, już zapominasz, jaka to łaska Boska, że on żyw. Owóż teraz powiem rzeczy kolejką. Jak oświtło, a bramy otwarli, tak i puściłam onego utrapionego Maćka, co téj całéj biédy narobił...

— To on narobił? I co on zrobił?

— A no, jak to czysty maciek. Za długoby mi gadać. Zgoła, musiały my go z Fruzią bez całą noc w domu kryć. Świtem tedy dopadł konia i pojachał, bo chciałam, aby chocia tego biednego trupa ktoś przecie po chrześcijańsku zebrał i pochował. Owóż jedzie, jedzie, a onego trupa nigdzie ani na oczy. Tak dojachał aż do saméj Oliwy. Tam dopiero nalazł pana, alić nie w trumnie,

jeno w celi Oćca Błażeja, na czyściutkiém łożu. Koło niego Oćcowie Cystersy i różne panowie officyjery.

— A skąd oni już się zwiedzieli?

— To były dobre znajomki pana Kaźmiérza; on ich zaprosił jeszcze wczora do Oliwy na świadków swojego ślubu, a potém na assystencyę, bo chciał cię z taką eskortą zawieźć do Władysławowa. Oni tedy czekali na was w nocy u zakrystyana. Czekają, czekają, nie widać nikogo. Bierze ich impacyencya, wychodzą na drogę, nasłuchują, czy kto nie jedzie? Aż i jedzie, a nawet pędzi, leci. Patrzą: koń pana Kaźmiérza, ale cóż? Sam, bez jeźdźca, leci rozhukany, jak waryat. Ledwie go potrafili przyłapać, i zaraz pomyśleli, co musiała z wami stać się jakaś fatalność. Siedli tedy na koń wszyscy, wzięli chłopów ze somsiedztwa, wzięli téż i nosze, co są w szpitaliku klasztornym; jadą tedy ku miastu, a nasłuchują, czy się kto gdzie nie bije, a patrzą, czy gdzie niéma zwłoków? Aż patrzą, a tu na drodze leży pan Kaźmiérz zastrzelon. Im takoż się zdało, że to już na śmierć. A wszelako, jak zaczęli go wodą pstrykać, a na noszach układać, tak ten w jęk. Tedy obaczyli, że dusza jeszcze się kołacze. Bez całą drogę to jęczał, to znowu mglał, aż rankiem są w Oliwie. A tam właśnie świéce na ołtarzu już się palą, a Ociec Celestyn kładzie stułę, aby wam dawać ślub. A tu Pana Młodego wnoszą jakoby na marach. Tedy lamentują. Ale Ociec Błażej to wielki medyk; ten wziął pana Kaźmiérza do swojéj komórki, a tam jak zaczął obmywać, obmacywać i świdrować, tak i wyjął oną paskudną kulę.

— Co? Wyjął! I ona go tam wewnątrz nie popsowała?

— Trocha, wszelako nie na śmierć, bo nie poszła durch bez piersi, jeno jakoś boczkiem, tak co między żebrami gdzieś utknęła. Ociec Błażej powieda, co wszystko w nim całe, jeno się tam trocha krwie natoczyło, i boi się jakowejś inflammacyi, ale powieda, niech jeno chory spokojnie poleży miesiączek abo dwa, to potém pójdzie do ślubu zdrów, jak rydz.

— Ach, miesiączek abo dwa! Toż wieki! A jak przyjdzie owa inflammacya?

— E! nie przyjdzie, ale na to, aby nie przyszła, trza choremu — jako mówi Ociec Błażej — wielkiego silencium i wesołéj myśli. Nie pozwala nawet, aby go ruszono z łoża. My tedy z panem obersztérem uradzili tak: że on ostanie się w klasztorze, ale że to będzie wielki sekret, i że będzie poczytan za umarłego. My będziemy po nim płakały i officyjery będą płakały.

— Czemu to ma być sekret?

— Bo jakby pan Schultz wiedział, że on żyw, toby ciebie zamknął nie tu w téj komorze, ale w jakowym lochu, abo jeszczeby co tchu sprowadził ministra i jutro przez gwałt cię wziął za żonę.

— Jakto? Więc on jeszcze chce mię za żonę? A toż to człek bez nijakiéj hambicyi. Żeby tak ode mnie kawaler precz uciekał, to jabym już sto razy powiedziała: Bierz cię licho!

— A tak, my takie. Ale u mężczyznów rzecz inaksza. To sobie Waćpanna zapamiętaj, że chłop na podwikę, jak myśliwiec na zwierzynę; im ona więcéj ucieka, tém on łapczywszy na nią. I nie koniecznie dla onéj zwierzyny, jeno dla samej wojny. Nieraz widzi się wielkiego pana, ba! i króla, co goni za lichą sarną, abo się

boryka z niedźwiedziem. Wszakci jemu nie chodzi o pieczyste ni futro, mógłby posłać swoje strzelce i mieć i to i to, jeno jemu chodzi o batalię i o wiktoryę. Oni wszystkie takie. Nawet i ten twój pan Kaźmiérz, czyby on się tak palił, gdyby nie miał tyle trudnościów? Ale temu dyskursowi dajmy pokój, bo, jako widzę, już u Waćpanny znowu płacz blizki. Pogadajmy jeno, co trza robić.

— Tak, właśnie. Co ja mam nieszczęśliwa teraz robić?

— Nic, jeno dyplomatyzować. Ja będę trzymała pana Schultza w téj perswazyi, jako Waćpanna, straciwszy swego chłopca, dasz się powoli namówić na stateczniejszy związek. Ty tedy opłakuj sobie pana Kaźmiérza dosyć głośno, aby wierzył, że tamten zabit, a znów nie tak strasznie głośno, aby go irrytować. I namyślaj się i odmyślaj, stukaj w paluszki, jak to zwykle dziewka, co się droży ze swoją personą, i tak ciągnij od niedzieli do niedzieli, byle przeczekać.

— Dobrze. A potém co?

— No potém, jak pan Kaźmiérz wyzdrowieje, to się pobierzecie.

— Jakim sposobem? Znów uciekać? A nuż się znowu nie uda?

— Oho ho! Niby to niéma stu sposobów? Mamy czas do medytacyi. Nie bój się Waćpanna, już moja w tém głowa.

— Złota głowa i złote serce u Waćpani, dobrodziki mojéj. Czémże ja to odpłacę?

— A po co płacić? Małoż to dla mnie delicyi w cudzych szczęśliwościach? Tedy wszystko będzie dobrze.

Jeno teraz mi się Waćpanna kapeczkę ogarnij, bo wyglądasz, jak półtora nieszczęścia.

— Cóż chcesz Waćpani? Jak mię pan majster w nocy, prosto z konia cisnął tu na ziemię, tak i ostałam do téj chwili w czystéj desperacyi.

— Pojrzyj-no jeno Waćpanna w lusterko, czyś ty nie podobna do upiora, co póty krew chlupał, aż cały poczerwieniał?

Panienka zerwała się z kobierca i stanęła przed ośmiokątném weneckiém zwierciadłem, którego kryształowe ramy świeciły na ścianie tysiącami gwiazdek.

— O la Boga! — zawołała. — Jakoweż ze mnie straszydło!

Skoczyła do nizkiej półki, gdzie migotała srebrna miednica z nalewką, zaczęła obmywać twarz i ręce, obmuskiwać roztargane włosy, i z tą młodocianą rzutkością, co w jednéj chwili przechodzi od bólu do wesela, to podskakiwała, to pośpiéwywała, powtarzając:

— Kiej pan Kaźmiérz żyw, to trza być jeszcze do ludzi podobną.

Pani Flora, która siadła tymczasem na krześle, przestrzegała:

— Jeno bez tych przyśpiéwków i jubilacyi; nie przepominaj Waćpanna, że pan Kaźmiérz zabit i że masz po nim płakać.

— A prawda, prawda, trza płakać, acz się już i nie chce. No, a tera i sukienczynę zwlekę, bo ta krew już mi cuchnie do mdłości. Wiész Waćpani, ten mętlik już się na nic nie zda, chyba na fartuchy dla Miny. Mała szkoda, feralna to była szatka. No, a z téj krézeczki to już jeno strzępki.

— Musiał cię porządnie pan rajca natargać...

— O joj! Okrutnie. Jużem się dławiła, jako ten wisielec. Żeby kréza nie była prysła, to byłby mię zadusił na śmierć.

Hedwiga rozpowiadała to wszystko z życiem, wpół ze śmiéchem, ale tu nagle syknęła, rękę zacisnęła na piersiach, i głos jéj znowu zrobił się płaczliwy.

— Matko Najświętsza! A to nieszczęście!

— Co znowu się stało?

— Mój szkaplirz! Mój kochany szkaplirz!

— Zepsował się?

— A jakoż? Pan majster go zepsował. Widno, jak ciągnął za krézę, tak i sznurka naderwał, i cały szkaplirz rozlazł się w kawałki. Boże mój, co ja tera zrobię?

— Pokaż-no Waćpanna, może się jeszcze da naprawić? No, i cóż tak wielkiego? Rozpłatały się dwie połowiczki. Zeszyjesz je ładnie, nowy sznurek dasz, i będzie.

— Tak, ale to już będzie nie ten sam sznurek. A jam zawsze go tak pilnowała, jak oka w głowie. Taka wielka świętość! Jedyna rzecz, co mi ostała z dawnych czasów, i to mi zepsowali! O patrz Waćpani, i modlitewka stamtąd się wypsnęła.

To mówiąc, Hedwiga ostrożnie rozwijała zżółkłą, w kilkoro złożoną karteczkę. Jeszcze nie zdążyła całéj rozwinąć, gdy drugi papiérek wypadł z niéj na podłogę.

— A to co? I druga modlitewka? Nigdym nie śmiała rozparać tego ni zaglądać, ale kiedy samo się roztworzyło, to téż obaczę, co w takim szkaplirzu piszą? Ta pierwsza... łacina... to nie dla mnie. A druga?

Mówiąc to, podniosła i rozwinęła drugi papiérek.

— Tu coś po naszemu napisano. Co to jest?

I, stanąwszy w pasie światła, bijącym od okna, przebiegała kilkakrotnie oczyma wyblakłe znaki pisma.

Podczas tego czytania twarz jéj zaczęła się mienić, ręce opadły jak bezwładne, oczy rozwarły się w ogromne koła.

— Jezus Marya! — zawołała. — Co ja tu nalazłam!

— Co takiego? Co się z Waćpanną dzieje?

— Czytaj Waćpani... Masz...

Pani Flora wzięła papiérek i, chcąc głośno przeczytać, już otwierała usta, gdy Hedwiga chwyciła ją za ramię.

— Cicho... cicho... — szepnęła. — Czytaj to jeno dla siebie, aby kto nie posłyszał...

Pani Flora zaczęła wzrokiem przebiegać pismo, i wnet i na jéj twarzy odmalowało się wielkie wzruszenie. Podniosła ku Hedwidze oczy zdumione i jakby nieśmiałe.

— A to dopiero odkrycie! — rzekła. — Po prostu cudowne.

Hedwiga nagle spoważniała. Zwinęła napowrót ów papiérek i nabożnie do ust go przycisnęła.

— Mój Boże! Tylem lat nosiła on szkaplirz i anim wiedziała, co mam!

Potém zapadła w głębokie zamyślenie.

— Powiédz Waćpani, co z tém robić?

Pani Flora także się zamyśliła.

— Ja — rzekła po chwili z niejakiem wahaniem — żebym tak była Waćpanną, tobym tego panu Schultzowi nie pokazowała.

— I mnie się toż samo widzi. Żeby tak żyła pani Dorota, o! tobym pokazała, ale tera inaksza rzecz...

— Tak właśnie. On gotówby Waćpannie taki skarb zabrać i nie oddać, jeno za twardemi kondycyami, abo i spaliłby onę kartkę, aby na zawdy ostać się jedynym Waćpanny seniorem.

— Więc tedy co robić? Bo coś trza przecie zrobić. Ja licha dziewczyna, i jeszcze we więzieniu, co ja poradzę? Waćpani takoż jeno białogłowa. Tu trza nam człeka łepskiego i przywiązałego, coby pojachał, szukał, weryfikował. Ach, żeby pan Kaźmiérz był przy zdrowiu...

— Tak, ale nie jest przy zdrowiu i nie zara będzie. A to rzecz pilna, pilniejsza nad wszelakie jensze.

I obie długo zamieniały spojrzenia pełne troski. Nagle Hedwiga uderzyła się ręką po czole.

— Już mam! Ociec Damian! To człek mądry i dla mnie przyjaźliwy. Poproszę go wedle spowiedzi. A potém pokażę mu ten papiérek. Jeśli kto pod słońcem, to chyba on poradzi co tu robić.

— Niebieską inspiracyę Pan Bóg zesłał Waćpannie. Powiem ja panu majstrowi, jako Waćpanna w swojéj dezolacyi chcesz się pokonsolować spowiedzią. Tegoż on chyba nam nie zrekuzuje. Ale schowaj Waćpanna głęboko ten dokument, boć to nad wszelakie złota i karbunkuły.

Hedwiga oddarła kawałek od poszarpanéj krézy, włożyła weń płatki szkaplerza i obie karteczki, wszystko sznurkiem obwiązała i, nadziawszy nową suknię, za stanik wsunęła.

Już też i czas naglił. Za drzwiami odzywały się coraz głośniejsze stąpania i krząkania. Pani Flora zapukała, majster ją wnet wypuścił i zapytał:

— No, cóż tedy?

— A no, cóż? Nieźle mi się pofortuniło. Zeszłam ją na podłodze. Wiła się tam, jako ten wąż, a szlochała, jako bóbr. A tera już chodzi, oczy otarła, włosy przymusknęła, szatki odmieniła, można choć trocha z nią pogadać. Niech się wywzdycha, to i przyjdzie myśl pogodniejsza, jeno trza jéj obrachunek zrobić ze sumnieniem i w nabożeństwie się odrodzić. Takoż ona i chce i prosi, aby jéj sprowadzić spowiednika.

Majster zmarszczył brwi.

— Kogo? Onego Dominikanina, co to taki mądral? Hm, a jak mi dziewkę jeszcze gorzéj nabuntuje?

— Nie gadaj tak Waszeć. Ksiądz zawdy napędza do pokory i do posłuszeństwa. On lepiéj jéj nakiwa, niźli Waszeć sam.

— Wymyśl Waćpani co jenszego. Ja już tych mnichów dosyćem w domu miał.

— Nie wymyślę nic lepszego. Nie kontruj Waszeć, bo sam sobie psowasz jenteres. Niektóra białogłowa nikogo nie posłucha, ni oćca ni matki, ni męża ni Pana Boga, a księdza posłucha.

— To chyba tak u was, bo u nas luteranów to inaczéj.

— A ma się rozumieć, że inaczéj. Wasze ministry boją się własnych żon, to już i nie umieją rozkazować żadnéj białogłowie.

— Ha no! Kiedy tak, to już go tam Waćpani sprowadź, ale jak będzie źle, to na Waćpanią spadnie respons.

— Dobrze, dobrze, responduję — odparła wdowa żwawo i zabierała się do wyjścia, gdy z dołu po schodach zatętniło zbliżanie się kilku osób.

Naprzód szedł Kornelius, ponurszy niż kiedykolwiek. Za nim ślusarz, z pękiem prętów żelaznych w jednéj ręce, z różnemi narzędziami w drugiéj. Za nimi szła Mina, bardziéj niż kiedykolwiek przerażona.

— To wedle onych kratów — rzekł Kornelius.

— A dobrze. Pokaż mu, jak ma robić, a pilnuj tam, i ty, Mina, pilnuj, aby frajlein znowu się gdzie nie podziała.

Mówiąc to, po raz drugi klucz z kieszeni wydobył i Korneliusowi go wręczył.

Ale zaledwie tych troje weszło do pokoju uwięzionéj, wnet ozwał się stamtąd głos Hedwigi, tak mocny i rozkazujący, jakiego pani Flora nigdy jeszcze u niéj nie słyszała.

Po chwili drzwi rozwarły się z trzaskiem, wyleciał z nich Kornelius blady i pomieszany, a Hedwiga, stanąwszy na progu, z wyciągniętą ręką wołała:

— Precz stąd, czeladniku! Jako to ty śmiész wchodzić do panieńskiéj komory? Precz z moich oczu, ty zbóju, ty podły tchórzu, co ludzie napastowasz pokryjomu! Co strzelasz na nich z tyłu!

Korneilus obrócił się ku niéj zzieleniały i wycedził przez zaciśnięte zęby:

— A jakoż to ja miał strzelać inaczéj, kiedy z przodu Waćpannaś go zasłaniała swoją personą? Byłby ja i Waćpannę przestrzelił.

— A to byłbyś dobrze uczynił. Jużbym na twoją szpetną figurę nie patrzała.



— Precz stąd, czeladniku! Jako to ty śmiesz wchodzić do panieńskiej komory?

To mówiąc, ręką wciąż wyciągniętą wskazywała mu schody, a gniew jéj tak przeraził Korneliusa, że chwycił się oburącz za głowę i zaczął na dół uciekać, wołając:

— Już ja zgubion u niéj na zawdy! Na zawdy!

Ona tymczasem podniosła oczy żałosne, ale złagodniałe na zdumionego majstra i, kłoniąc mu się do kolan, mówiła:

— Panie ociec... panie ociec...

Majster przygryzł sobie usta.

— Po co to gadać? Wiész przecie frajlein, jako ja tobie nie ociec.

— Ja nie chcę tego wiedzieć i będę zawdy respektować pana majstra jakoby oćca, boć Waszeć mi był przez mędel lat benefactorem. Persekwuj mię Waszeć, ile chcesz, bij mię nawet, jeśli ci to miło, wszystko przeniosę bez sarkania, jeno mi za dozorcę wieży nie dawaj onego pachołka, bo takich despektów ja już nie przeniosę.

To rzekłszy, wypchnęła Minę i ślusarza i drzwi za sobą zatrzasnęła.

Pan majster zdumiony milczał, tymczasem pani Flora, wciągnąwszy go do przeciwległéj komnaty, mówiła natarczywie:

— A co? Jak z Waszecią spokorniała? Jak się pięknie zasubmitowała? Dajże już Waszeć pokój tym głu-

pim kratom i tyraniom. Do kogo już ona teraz ma uciekać, kiedy tamten zabit? I po co złe języki budzić? Już i tak całe miasto krzyczy na pana konzula, że katujesz dziewczynę.

— A niech sobie krzyczy. Co mi to szkodzi?

— Oj, szkodzi! A jakby się Waszeci zachciało wyjść na burgemeistra, to wszystkie katoliki przypomną te excessa i zakrakają Waszeciną elekcyę.

Majster, zachwiany wymową pani Flory, wychylił głowę na korytarz i kilku słowami odprawił ślusarza. Gdy napowrót ku niéj się obrócił, wdowa patrzyła na niego z czarowną czułością.

— Waszeć — rzekła — masz serce wspaniałe, jako lew. Kiedy tak, to ja dla Waszeci jeszcze coś lepszego zrobię. Po tém wszystkiém, co tu przypadło, już nie godzi się, aby dziewczyna mieszkała pod jednym dachem z Waszecią, dopóka się nie pobierzecie. Ja tedy ją wezmę do mojéj kamieniczki, na mój respons. Niech tam siedzi aż do ślubu.

Ale tu pan majster gwałtownie się ofuknął:

— O! Co to, to nein! Nein! I nein!

Pani Flora spuściła oczy i ciągnęła jakby z wahaniem:

— Ha! Kiedy Waszeć sam tego chcesz, to już ja muszę z siebie uczynić wiktymę. Tedy ja tu się zaintromituję i będę z Hedwigą siedziała w jednemże więzieniu.

— Jakto, Waćpani w moim domu będziesz? Wielce ja będę ukontentowan, jeno...

— Niéma nijakiego jeno. Jak ja tu się wprowadzę,

to każden sobie powié: „Juścić pod ućciwemi oczyma Flory Korwiczkowéj nie mogą się tam dziać żadne katostwa ni zdrożnoście". Tak tedy będzie salwowan i onor Waszecin i modestya Hedwigi. Prawda, że za to ja popadnę pod ludzkie kalumnie...

— A to z jakiéj racyi?

— A jakże chcesz Waszeć? Wdowa, co mieszka u wdowca, to woda na młyn kalumniatorów. Ale ja nie chcę myśléć o mojéj personie... Taka już moja natura. Niewiasta się sakryfikuje dla tego, kogo miłuje.

Tu pani Flora cisnęła majstrowi upajające spojrzenie.

— Tera tedy — rzekła — lecę jeno po księdza Damiana, potém przynoszę mój węzełek i nie ruszę się stąd aż do ślubu.

To rzekłszy, zbiegła ze schodów, a zbiegając, tak w duszy kończyła swoją przemowę:

— Powiedziałam, jako nie wyjdę stąd aż do ślubu, ale nie powiedziałam do czyjego ślubu. Już on teraz mój, to pewne jak Amen w pacirzu. Niechno ja miesiączek abo dwa z nim podyszkuruję, a niechno mu na obiadki narobię codzień konfektów i pasztetków, to dziad wleci w sidło, jak ptak. A godny to mąż! Co za kamienica! Dla mnie na małżonka unikat. Co za szafy! Co za makaty! A te przebindy i alszbanty! Będę ich miała, ile się żywnie zachce. A przytém jest i panem rajcą. A za czasem ja go wyforuję i na burgemeistra. Bo ja muszę być panią burmistrzową, tak czy owak, a muszę.

W tych myślach pani Flora wyszła z Bursztynowego Domu i skierowała się ku Dominikanom.

Przez ten czas pan majster, zamknąwszy znów na klucz Hedwigę, stał jeszcze nieco w korytarzu, gdzie sobie rozważał ostatnie spojrzenia i słowa pani Flory.

— Osobliwsza frau! — powtarzał. — Dla kogo się to ona sakryfikuje i kogo to ona miłuje? Hedwigę? Czy mnie? Oj, coś mi się widzi, że nie Hedwigę. Fenomen z téj niewiasty! Dalibóg, żeby nie było Hedwigi, tobym ją zara wziął za żonę, bo to i buzia kieby roza, i szyjka cygnusowa, i gospodyni excellentna, i rozumu jak u siedmiu panów radnych. Ale Hedwigi nie rzucę, choćby jeno dlatego, aby na swojém postawić, i dlatego, aby ludzie nie drwili, że mała mädchen dała mi odkosza. A przytém i to bestyjka cudna.

Tak rozmyślając, spoglądał kolejno to na drzwi od panieńskiego pokoju, to na schody, którymi zeszła pani Flora, i już wrócił do swojéj komnaty, już sobie znowu piwa delewał do szklenicy, a jeszcze wahał się, która z nich godniejsza jest affektu.

— Rób, co chcesz — medytował — zawsze źle. Weź tę, będzie żal tamtéj. Weź tamtę, będzie żal téj. Żeby to tak można... A no cóż, kiedy nie można... Nie wolno! Hm... Na ten raz szkoda, że ja nie Turek.

IV.

Wesele.

— Co u licha? Czy tu mór wszystkich powybijał, czy co? Maciek, zajrzyj-no do któréj chałupy i koniecznie dostań mi języka.

— Juz ja, prosę Waséj Miłości, kręcił się po niejednėm obejściu i raz doślipił ja maluśkiego chłopacynę, ale i ten mi ucik i przepad za chliwkiem. Juz mię się wsyćko tera nie darzy, juz takowa klątwa Pana Boga cięzy na mnie, obrzydłym grześniku.

— A nie desperuj-że tak ciągle, Maćku. Wszakci nawet ja, człowiek, jużem ci darował, a jakożby Pan Bóg nie miał darować? Może to właśnie było w Boskiéj woli, aby rzeczy na tę niespodzianą figurę się uformowały? Obaczym to zara, już ja ledwie dyszę z impatiencyi, jeno mi nie chlipaj wciąż nad uszyma, bo mi naprawdę zbrzydniesz.

Tak pan Kaźmiérz rozmawiał, jadąc na tęgim bułanku przez wieś dużą i porządną, ale pustą, jakby jakieś miejsce zaklęte. Stawał przed chatą jedną, i drugą, i dziesiątą, nawoływał:

— Hej! A jest tam kto?

Nikt się nie odezwał, nigdzie ani żywego ducha. Czy ludzie poszli gdzie na odpust? Ale żeby téż ani jednéj nawet babiny nie zostało się na lekarstwo, to jakaś wieś dziwnego nabożeństwa.

Pan Kaźmiérz, który dotąd jechał wolno i ostrożnie (i to nie bez powodu, bo każde szybsze poruszenie targało mu wnętrzności), teraz już, zniecierpliwiony, puścił koniowi wodze i popędził tak siarczyście, że Maciek na swojéj szkapinie w żaden sposób nie mógł za nim zdążyć, témbardziéj że łzy, nieustannie zalewające jego małe oczy, zasłaniały mu drogę i łkaniem zapierały piersi.

W tych łzach tonął on już od dawna, od chwili, gdy ujrzał swego pana w Oliwie pół-martwym na zakonném łożu. Z początku stał osłupiały, nie rozumiejąc wcale powodu nieszczęścia. Towarzysze pana Kaźmiérza dobitnie mu go wyłożyli. Wśród ich kułaków i płazowań słyszał nieustanne wyrzuty:

— A ty łotrze! Ty Judaszu! Toś ty wszystkiego narobił! Tyś zdradził twojego pana!

— Ja? Ja? Co ja krzyw? Jezu mielosierny! Jabym za pona mego dał z siebie pasy drzyć. Dalibóg ja nie Judas.

— A czemuś to, gałganie, liny nie uprzątnął? Żeby nie to, byłyby Niemce do rana spały, niczego nie widziałszy, a twój pan byłby ujachał i ślub wziął szczęśliwie. Poczekaj, niech on skona, to my tobie damy!

Nakoniec Maciek zrozumiał, i odtąd wpadł w nieopisaną rozpacz, nie nad sobą, ale nad swoim panem.

— Zabijta mię, jak psa! — wołał dzień i noc. —

Ja niegodzien żywota! Obwieśta mię tu zara na wiezycy!

I rozbijał się po całym klasztorze, głową tłukł o mury, jadło i napój odpychał, a gdy choremu nie mógł służyć, bo i pan Kaźmiérz nie znosił jego widoku, Maciek siadł pode drzwiami celi, wzdychał, szlochał, każdego z wychodzących błagał o wiadomość i wciąż powtarzał:

— On juz niezyw! Pewnikiem niezyw! Pokazcie mi wzdy jego mogiłkę! Ja tam się zawlekę i zdechnę, jak pies.

Nakoniec Ojcowie Cystersi ulitowali się tak wielkiéj boleści; zaczęli tłumaczyć Maćkowi, że gdzie nie było złéj woli, tam niéma i grzechu, że pan ozdrowieje, nawet już miéwa się lepiéj. I oficerowie, wzruszeni, przestali fukać na biédaka. W końcu i sam pan Kaźmiérz, po kilku naradach z dominikańskim Ojcem Damianem, kazał Maćka zawołać i przypuścił go napowrót do służby, a w połowie i do swojéj łaski.

Wszelako łzy Maćkowe jeszcze nie przestały płynąć; jeżeli już nie płakał ze zgryzoty nad chorobą pana, to płakał z rozczulenia nad jego wspaniałomyślnością; ile razy otrzymał słowo lub spojrzenie, zaraz rozkwilał się, jak dziecko, i teraz oto jeszcze od łez, mroczących mu oczy, nie mógł pana dopatrzyć ni dogonić.

Tymczasem pan Kaźmiérz, przebiegłszy wioskę, wpadł w gęste zagajenie, gdzie droga nagle się skręcała, i na tym skręcie ujrzał widok niespodziany, który go zarówno zdziwił, jak ucieszył.

W głębi krajobrazu świeciła kręto rozlana, iskrząca się od „wartkiego“ biegu, rzeka Warta; bliżéj stał ogromny dwór wiejski, tyłem zwrócony do rzeki, a przodem do wielkiego dziedzińca. Musiał ten dwór być niegdyś obronny, bo na dwóch narożnikach miał dwie małe murowane baszty, o czapkach z dachówek i kręcących się chorągiewek; ale budynek, co je łączył, był cały drewniany, modrzewiowy, pokłuty gdzieniegdzie oknami o maleńkich, ziarnistych szybkach; wyglądał nieco przysiadło, bo nie posiadał piętra; za to miał dach niezmiernie wysoki, z gontów niby śpiżowych, tu rudawych, tam zielonawych od porostów i omszałości. Przed drzwiami wejściowemi wysuwał się ganek o toczonych słupach, z wystającym daszkiem, w którego trójkątnym szczycie świecił na tle złotém okrągły Obraz Matki Boskiej. Dziedziniec musiał także niegdyś służyć za warownię; tu i owdzie sterczały jeszcze kawały blankowanego muru, ale w licznych miejscach mur był już rozsypany, i tam zastępowały go płoty, bujnie obrosłe krzewinami. Tylko brama wjazdowa, ciężka i sklepista, przechowała się nienaruszenie.

Od téj bramy droga, wysadzana lipami, biegła prosto jak wystrzał do wiejskiego drewnianego kościołka, który szarzał w oddaleniu nagim czworobokiem swoich ścian sędziwych i dachem jeszcze śpiczastszym, niźli dworski, uwieńczonym dzwonniczką, gdzie pod słońcem coś migało, niby srebrna iskra, pewnie sygnaturka.

Cały ten obraz był zatłoczony wieśniactwem odświętnie ubraném; jedni przez płoty zaglądali do dziedzińca dworskiego; inni długimi sznurami stanęli po dwóch stronach gościńca; największe tłumy roiły się wkoło ko-

ściola; tam aż pstro było na polu od pasiastych spódnic, kwiecistych fartuchów, granatowych sukman i sterczących nad głowami wykrawanek jagnięcych.

Pokazanie się pana Kaźmiérza sprawiło w téj nieruchoméj ciżbie niejakie poruszenie. Na widok ubioru wojskowego, i to nieznanego w tych stronach, oglądano się ciekawie.

— O! Jeszcze jeden! I jakowy cudaczny! — ozwała się któraś dziewka.

— Wczas! — podchwycił stojący tuż parobek. — Jadzie na gaszenie świeców.

Pan Kaźmiérz zatrzymał konia i spytał najbliżéj stojących:

— Niech będzie pochwalony! Gadajcie, nie zmylił ja drogi? Wszakci ta wieś to Dobrowola?

— A juści. Co ma być jenszego?

— No, to dobrze. A co się tu dzieje? Odpust macie, czy jarmark, żeście wszyscy z chałup wylegli?

Tu starszy jakiś gospodarz pokłonił mu się do strzemienia.

— A to proszę puna pułkownika tu som gody. Pun rotmistrz się żeni.

— Co za rotmistrz?

— Ode pancernéj choręgwi.

— No tak, ale co za jeden?

— Jakoż to, co za jeden? To pun staroście, nasz młody dziedzic.

— A tom trafił, jak kulą w płot! Pewnie pan starosta ociec w kościele?

Chłopi spojrzeli po sobie drwiąco. Gospodarz pokręcił czapkę w rękach i znów mówił:

— Pun pułkownik z za morza puno jadzie, kiéj pyta o puna starostę.

— Bo co? Czy go tu niéma?

— Jest-ci, jeno tam kole kościoła pod krzyżem leży wznak i śpi już całkie dwanaście roków.

— Co? Starosta nieżyw? Oj, to źle. No, a pani starościna, także już nie żywie?

— A Boże broń! Bez uroku mówiący, żywa ona jeszcze, ale jeno bez pół, bo, jak pochowała puna starostę, zara ją paralusz ruszył. O, widzi pun pułkownik tam za bramom pański dum? Una tam siedzi na gonku; nie mogła nieboga puńść do kościoła na ślub synaczka, jeno sę kazała wytoczyć przede próg i czeka z chlebem i solom. Widzita? Kole niéj rękodajny, co to paniom ongi prowadzał, a tera jeno przeciąga jom z ławą. I pun marszałek stoi tam, i jensze wielgie ludzie dworskie.

Gospodarz byłby jeszcze dłużéj się chwalił znajomością starościńskich dworzan, ale pan Kaźmiérz mu przerwał:

— Bóg zapłać. Z drogi, chamy!

I ruszył, oglądając się za Maćkiem.

Ten właśnie wyjeżdżał z gaju, wstrzymał nagle szkapę i, rozdziawiwszy usta, dziwował się:

— O la Boga! Co tu naroda!

Na skinienie pańskie, co tchu skoczył, rzesza się rozstąpiła, i obaj wjechali w ulicę lipową. Droga była wysypana pachnącym tatarakiem; po brzegach stały beczki ze smołą, jeszcze niezapaloną, ale wróżącą, że noc weselna i poza dworem wesoło ma być obchodzona.

Przed bramą pan Kaźmiérz aż przystanął dla przyjrzenia się jéj strojności; słupy z obu stron były przy-

brane chorągwiami pewnie zdobycznemi, bo niektóre z nich wisiały w same strzępy, a na innych roiły się półksiężyce i różne pogańskie znaki. Trofea te poprzepinano tarczami herbownemi, gdzie na czerwoném polu wił się biały Nałęcz. U wierzchu bramy powiewały dwa buńczuki, pewnie także wzięte przez antenatów, może przez nieboszczyka starostę.

Niemniéj uroczyście wyglądał dziedziniec; w środku, na obszernym trawniku, ciągnęły się stoły, ułożone z tarcic na kozłach, zatrzęsione różném grubem jadłem, dokoła stały kufy z piwem; widocznie uczta dla chłopstwa. Pod oknami dworu, z pomiędzy kwiecistych grzęd i krzaków, łyskały cztery wiwatowe moździerze. Ganek, równie jak prowadzące do niego schody, były wyłożone sutém czerwoném suknem, a w głębi, przez drzwi roztwarte, oczy mogły dojrzéć sień ogromną, wybitą przepysznym tureckim namiotem, o pasach oliwkowych i amarantowych, po których kręciły się czarne i złote arabeski.

Od tego tła barwnego wdzięcznie choć smutnie odbijała głowa pani starościny, siedzącéj w głębokiém krześle na ganku; nogi jéj, pomimo lata, były szczelnie otulone białém niedźwiedziém futrem; powyżéj pasa rysował się jéj kabat z fioletowego rzymskiego szarszedronu i spadający na piersi kołnierz ze srebrnych koronek; takiż sam czepiec pokrywał włosy, a także już posrebrzone, bo chociaż starościna niedawno dopiero czterdziestkę przebyła, przecież ślady głębokich cierpień i ciężka choroba starły już z jéj oblicza wszelką krasę; ale czego nie mogły zetrzéć, to wyrazu wielkiéj dobroci, wielkiéj pro-

stoty i wielkiéj powagi, co wszystko, razem wzięte, czyniło z niéj najżałośniejszą i najmilszą matronę.

Za krzesłem starościny stał marszałek nadworny, z białą laską w ręku; daléj pod ścianą kilku innych domowników, a tuż obok poręczy krzesła rękodajny, w świetnym kubraku koloru łososiowego, z kordem wiszącym przy mendelkowym pasie; w rękach trzymał niedużą tacę złotą; brzegi jéj były obłożone równianką ze świeżych róż; w środku leżał bochen żytniego chleba; przy chlebie stała srebrna solnica, w kształcie orlęcia o rozpiętych skrzydłach, z koroną na płaskiéj głowie; w tę to koronę była nasypana sól, biała i czysta, jakby garstka śniegu.

Pan Kaźmiérz, wpatrując się z bramy w nieruchomy ów obraz, pomyślał sobie niewesoło:

— Szkoda! Jeśli ta białogłowa nie może ni się ruszać ni gadać, to niewielką będę miał z niéj pociechę.

Ale natychmiast otrzymał pocieszenie, bo w téjże saméj chwili starościna wyciągnęła rękę, wskazała na bramę i, zwróciwszy się do rękodajnego, żywo coś mówiła.

Przemówienie jéj tyczyło się właśnie pana Kaźmiérza.

— Jeszcze ktoś... ale co to za jeden? Przypatrz-no się Asan, kto to taki? Ja nie poznaję... czy i oczy już mi się psowają?

— Nie, Mościa pani starościno, to nie żaden z gościów. Nie znam go. Zakurzon, jakby sto mil ujachał. Ach, a ten pacholek za nim istny kundel. Jakieś ludzie podróżne.

Marszałek szarpnął wąsa i sarknął:

— Ale że też tak wali prosto we dwór, choć widzi, że u nas gala.

Istotnie, podróżny walił prosto przed ganek.

Służba, sądząc także, iż to który z gości, wybiegła na wyskoki, konie wzięła do stajen, a Maćka do czeladni.

Tymczasem pan Kaźmiérz już stał na ganku, kłaniał się i mówił:

— Do stóp IMci pani starościny ścielę się z weneracyą. Jestem Kaźmiérz Korycki, herbu Prus Pierwszy, officyjer od Wodnéj Armaty Jego Królewskiéj Mości.

— Ach! — uprzejmie odrzekła starościna. — Waszmość pewnie znajomy Władka, mego syna? On Waszmość pana zapraszał?

— Nie, Mościa dobrodziko. IMci pana starościca nie znam, w tym kraju nigdym nie bywał. Proszę mi odpuścić miłościwie, że nieproszon i nieochędożon stawiam się w tym zacnym domu, i to w jakiś dzień festynowy, ale ja zdaleka jadę na umysł do IMci pani starościny, w pewnéj sprawie ważnéj, z którą nie godzi się lenić.

Starościna odpowiedziała, zawsze uprzejmie, ale już obojętnie:

— Miło mi witać Waszmość w moim domu. Proszę siadać, proszę uniżenie.

Tu wskazała mu jedną z bocznych ławek na ganku, przyczém ciągnęła daléj:

— O sprawie onéj pogadamy, jeno trochę późniéj, bo teraz nie mogę, dalibóg nie mogę. Lada moment zjedzie z kościoła mój syn, co téj minuty bierze ślubną bene-

dykcyę. To dla mnie sprawa nad wszelakie insze ważniejsza.

Tu znowu zwróciła oczy ku lipowéj ulicy i pytała rękodajnego:

— Patrz Asan... coś tam się rusza... Czy to już oni wracają?

— Nie, Mościa pani — odparł tamten. — Ledwie co weszli do kościoła. Długo nam jeszcze pono przyjdzie czekać.

Pan Kaźmiérz nie mógł dosiedziéć na ławie. Niecierpliwość go podrywała. Posłyszawszy, że „długo jeszcze przyjdzie czekać“, postanowił bądź co bądź przyjść do rzeczy, a na początek choćby tylko nawiązać zerwaną rozmowę.

— Tandem tedy — zapytał — syn IMci pani starościny żeni się. Wolnoż mi wiedziéć z kim?

— Z moją córką.

Na tę odpowiedź, osłupiał.

— Przebóg! Syn z córką? Jakoż to może być?

I spojrzał po wszystkich obecnych pytająco, bo zaczął podejrzéwać, czy ta chora niewiasta nie jest na umyśle pomieszana. Ale oczy domowników pozostały spokojne.

Starościna, wyrwana przez jego wykrzyk z roztargnienia, uśmiéchnęła się i rzekła:

— Daruj Waszmość. Wyszło mi z głowy, że człek obcy nie może wiedziéć rzeczy, o jakiéj wié tutaj cała okolica. To nie moja rodzona córka, jeno sierotka przygarnięta od maleńkości, ale ja ją tak zawdy nazowam, bo téż ją i miłuję nieomal jakby swoją, i wielką

pociechę sprawia mi teraz Władek, że mi ją daje za synowę.

— A! Tak, to rozumiem — odparł pan Kaźmiérz i, rad, że może zbliżyć się do celu, dodał:

— Ale Waszmość pani miałaś i rodzoną córkę?

Starościna po raz pierwszy spojrzała na niego uważniéj.

— A!... Waszmość to wiész? Tak... miałam rodzoną... i nie mam!

— Dawno to pani starościna ją straciła?

— Piętnaście lat temu. Już całe piętnaście lat!

— Aha... to właśnie, jakom myślał...

— Jakto? Coś Waszmość myślał?...

I strzeliła ku niemu przenikliwém spojrzeniem.

Ale pan Kaźmiérz przygryzł sobie usta i ciągnął daléj:

— Nic... Jam sobie myślał, jaka to ta dzieweczka musiała być jeszcze młoda.

— Co to młoda? Mój Boże, to było niemowlę. Roczek miała, niecały roczek...

— I takie maleństwo Pan Bóg zabrał?

— Nie Pan Bóg zabrał, jeno ludzie zabrali. Tatary ją uwiezły w jassyr... Tylko pomyśl Waszmość, takie niewiniątko, taka śliczność, to wpadło w ręce tych szkaradnych okrutników. I to w pogaństwie się chowa! Plugawie żyć musi! Ja o tém piętnaście lat myślę dzień i noc, dzień i noc, i już téż z tego myślenia do połowy się obróciłam w kamień.

— Och! Ja rozumiem takowe utrapienie, bo czy uwierzysz Waszmość pani, i ja w onym strasznym roku,

jeszcze jako małe chłopię, byłem zabran w jassyr...

— Czy może być?

— I to z małą siostrzyczką, która nigdy się nie odnalazła.

— Nigdy? Ach, to najczęściéj tak bywa.

— Nie koniecznie. Oto mnie odnalazły rodzice. I Waszmość pani jeszcze kiedy odnajdziesz.

Starościna przez chwilę nic nie odpowiadała, tylko dwie łzy zaczęły spływać po dwóch bróździach, wyoranych już płaczem na jéj twarzy.

Pan Kaźmiérz odwrócił oczy, skręcił się na ławie i pytał:

— Ale jakoż to Waszmość państwa dosięgła ta dezolacya? Tatary pono nigdy jeszcze nie zapędziły się aż tutaj?

— A!... Bo téż to porobiła się istna fatalność. Ja Waszmości opowiem.

Tu starościna przestała patrzéć w ulicę lipową i, porwana przedmiotem, który widocznie nad wszystkiém inném górował w jéj duszy, poczęła mówić z żywością:

— To było tak. Ja wonczas wybrałam się do mojéj pani matki, co mieszkała daleko, za Lwowem...

— Do pani podkomorzyny Strusiowéj?

— A! Waszmość i to wiész? Tak, właśnie. Owóż tedy tam Pan Bóg dał mi szczęśliwie córeczkę, oną biedną Marysię...

— Aha! Więc jéj było Marya.

— Maryanna, Marysia. Potém długo przyszło mi leżéć w chorowaniu... Że mnie zawdy była stękliwa chérlaczka. Już taki boży dopust. A chciało mi się wracać,

bo tu doma ostał się Władek, starszy o całkie dziesięć lat od Maryjsi. Musiałam ostawić go, wedle uczenia, przy mądrych preceptorach. Aż tu donoszą mi, że Władek zachorował. Wtedy już ani mię utrzymać. Jachałam tedy co tchu do téj tu Dobrowoli, a Marysię ostawiłam u pani matki, bo z takiém subtelném dzieciątkiem ciężko było pędzić, a i pani matce ciężko było pozbywać się Marysi, jako to zawdy starsze ludzie mają swoje delicye we wnuczętach. Panno Najświętsza! Żeby ja była wiedziała, byłabym je obiedwie tu wiozła, i wszyscy by my dziś jeszcze razem żyli... Zastałem tedy Władka w gorączce dosyć złośliwéj, ze wrzodkami, jako to zwyczajnie u dzieci. Siedzę przy nim kilka niedziel, już chłopak zaczyna mi otrzeźwiać, a tu przychodzą wieści, jak pioruny, jedna po drugiéj. Naprzód, że Tatarzy pokazali się za Lwowem; potém, że pan hetman ciągnie na nich; potém, że mój mąż ranion pod Martynowem; potém, że Orda była pono i w tych stroniech, gdzie pani matka mieszka. Czekam, pytam się, rachuję momenta: żadnego posłańca z listem, jeno wieści coraz okropniejsze. Już nie mogłam wytrzymać, jadę. Nasamprzód przyjeżdżam do pani matki. O Boże, co znajduję? Dwór zrabowan, wsie spalone, ludzie zabrane w jassyr. Powoli złażą się niedobitki, mówią mi, że panią matkę... okropność powiedzieć... zabili! Najokrutniéj zamordowali! A Marysię razem z chłopskiemi dziećmi na wozach uprowadzili precz. Jakem stała i słuchała, tak już w onę godzinę zaczęło mi nogi odejmować. A tu znów ludzie mówią, że hetman odbił cały jassyr, że dzieci kupami odstawia do Lwowa, że tam na Rynku są, że rodzice je poznawają, że tam dzieją się istne cuda...

— Działy się, działy cuda — podchwycił pan Kaźmiérz. — I jam tam był, i mnie tam swoi poznali...

— Ach, czemuż ja nieszczęsna wcześniéj tam nie byłam? Ale to tak daleko z Dobrowoli! A i nie zaraz ja stąd wyjachałam, bo wieści latały sprzeczliwe, a potém szukałam pani matki, tak, że kiedy przypędziłam do Lwowa, to na Rynku już nie było ani jednego dziecka. Wszystkie porozbierali ludzie, porozwozili Bóg wié gdzie. Chodziłam, szukałam, czego to matka nie wyrabia? Kto jeno wziął wonczas jaką sierotkę, to musiał mi ją pokazać. Wpadałam do ludzi, jak waryatka, wszędzie się pytam: „Nie widzieli wy takiéj gładziuchnéj dzieciny, z niebieskiemi oczkami, ze złotymi włoskami, w niebieskiéj sukienczynie ze złotą forbotką? (Bo tak ją zawdy przybierałam). Gdzie tam! I nie, i nie! Sto i tysiąc dzieweczek przepatrzyłam, żadna nie moja Marysia! Nakoniec i szukać już gdzie nie było, i nadzieje zaczęły wątléć. Wszyscy mi gadali, jako pewnie poganie głodem zamorzyli to niebożę, abo i zarznęli w popłochu, bo najdywano w pogoni wielką moc zarzniętych, które oni woleli zakłuć, niżeli żywcem porzucić. Takowy to dyabelski naród. Ach, Panno Najświętsza! Tak tedy powoli przyszło wracać doma bez Marysi, jako z najcięższego pogrzebu. Po drodze, jeszcze raz niby coś dobrego błysnęło: w jednéj chałupie pod lasem jest — powiadają ludzie — jakowaś dziewczynina, odbita od pogan. Tedy wchodzę tam: czysta prawda. Była tam chłopka, biédna wdowa, co poszła sama zaraz na pobojowisko, dla szukania własnych dzieci, i znalazła je (szczęśliwa niewiasta!) i jeszcze z litości wzięła trzecie dziecko, straszliwie porąbane bez tatarskie szable. Patrzę: nie moje, nawet

nijak do Marysi nie podobne. Wszelako żal mi się zrobiło téj sierotki na słomie, z raną jedną kole ramiączka, z drugą tu, na boku. Powiedziałam sobie tak: Zmiłuj ty się nad tą dzieciną, to tam i nad twoją zmilują się jakie dobre ludzie, i Pan Bóg może zmiluje się nad tobą i kiedyś jeszcze Marysię ci wróci. Uczyniłam tedy na tę intencyę takie votum, że tę sierotkę jak własną wychowam, wyuczę i wyposażę czy do klasztora czy za męża. Potém wzięłam ją od onéj wdowy, co sama ledwie mogła z dziećmi się wyżywić, i jachałam doma. Tu już choroba jęła mię piłować, aż po sam pas przepiłowała. Bo jeno pomyśl Waszmość: Matkę mi zakatowali, dziecko mi przepadło, mąż z okrutnych ran zamarł, jak tu mdłe ciało wytrzyma tyle biczów? A z tém wszystkiém jeszcze było za co Panu Jezusowi dziękować; synaczek rósł pięknie, a z onéj sierotki miałam siła pociechy, bo to i wykurowała mi się galantnie, i chowała się na łepską dziewczynę; a jak mię sparalitykowało, takem obaczyła dopiero, jaka w niéj poćciwość: służy mi bez te wszystkie lata, iście jak rodzona. Przylgłam téż do niéj całą duszą, i Władek takoż przylgnął; nie dziwota, chowało się to razem, to i umiłowało się po gołębiemu. Co prawda, mogłam ci ja planować dla mojego jedynaka i znaczne jakie wiano i wysokie parantele. Jenom sobie mówiła: Niech będzie, jako Pan Bóg uplanuje. — Nie zaraz ja téż i dowiedzyłam onym pisklęcym sentymentom; ale Władek jeździł i raz i dwa pod chorągiew, i bił się, i świata kęs obieżał, a zawdy wracal wierny swojéj sierotce, i ona téż na żadnego inszego ni patrzéć nie chciała. Tak tedy pobłogosławiłam, i teraz, w téj minucie, ksiądz ich błogosławi, a ja mogę sobie powiedzieć, że moje votum ukoń-

czone: wychowałam, wychuchałam, za własnego syna wydałam, cóż ja już mogę więcéj zrobić? Nieprawdaż, panie kawalerze?

— Prawda, IMci pani dobrodziko, i mnie się wydawa, że jeśliby kiedy Pan Bóg chciał panią dobrodzikę rekompensować, to chyba właśnie dziś, w ten dzień, co koronuje fortunnie jéj traktat, z Panem Bogiem uczyniony.

— I czy uwierzysz Waszmość? — dodała starościna, wodząc oczyma dziwnie rozmarzonemi. — Jest jeden symptomat osobliwszy... tak po ludzku rzecz biorąc, to wszelka nadzieja wygląda na czyste głupstwo, boć piętnaście lat bez wieści, bez nijakiego śladu, w co tu jeszcze dufać? A jednakoż, bez te wszystkie lata, zawdym ja sobie myśliła: — Wszystko w mocy boskiéj. — A już co dziś, to ciągle coś mi w piersiach gada: Obaczysz, Pan Bóg cię wysłucha.

— I wysłuchał!

Te dwa słowa rzucił pan Kaźmiérz, ale rzucił je nieśmiało, głosem przytłumionym, tak, że starościna, nie dowierzając własnym uszom, zapytała:

— Co Waszmość powiadasz? Nie rozumiem.

Wtedy pan Kaźmiérz wstał, ujął jéj dłoń w swoje ręce i wymówił głosem już stanowczym:

— Powiadam, że Pan Bóg wysłuchał. Córka pani starościny żywa jest.

Zaledwie tych słów domówił, już ich pożałował. Stało się to, co z lękiem przewidywał. Twarz starościny

zmartwiała, rysy jéj przykro się wydłużyły, oczy stanęły kołem, usta, otwarte do wykrzyku, pozostały niememi.

Domownicy rzucili się ku niéj, odpychając pana Kaźmiérza i fukając na niego:

— Coś Waszmość nagadał? Coś narobił? Patrz? Jakoż to można bez preparacyi takie nowiny ciskać?

A marszałek, tłukąc o ganek laską, mówił:

— Jeśli Waszmość zwodzisz, toś popełnił kryminał. Oto od emocyi znów attak przyszedł, jeszcze nam zamrze.

— Ależ — tłumaczył się pan Kaźmiérz — jam od początku nic nie robił, jeno ją preparował. Musiałem ci przecie raz tę rzecz wykrztusić. Ja nie kłamam, ja prawdę gadam, jak Boga kocham, prawdę.

— Prawdę? — powtórzyła starościna, która po kilku wzdrygnieniach zaczynała wracać do życia; twarz jéj nabiegła ogniem, oczy zapałały. Wyciągnęła ręce do pana Kaźmiérza i wołała:

— Aniele boży! Więc to prawda? Ona żyje? Tyś ją widział?

— Widziałem, sto razy. To ona przysyła mię tu do swojéj pani matki.

— Ale gdzież ona sama? Czyś ją przywiózł? Pokaż-że ją, na miłość boską, pokaż!

— A juści przywiozę ją... tylko teraz jeszcze nie można...

— Dlaczego? Gdzież ona?

— O! Daleko stąd, w Gdańsku.

— Co? Aż kole morza? Skądże ona się tam wzięła? Czy kto ze sług ją odratował?

— Nie, ona się tam chowała u pewnego człowie-

ka... co nazywa się Schultz... Majster od bursztynów, człek bogaty...

— Co? Szwab? Luter? Jeszcze może i ją zlutrzyli?

— Nie, żona onego Schultza, niewiasta z naszych stron, była szczera katoliczka i po katolicku wychowała pannę Hedwigę...

— Co za Hedwigę?

— Ach, nie... Chciałem powiedzieć: pannę Maryannę. Ona tam nazywa się Hedwiga, boć te ludzie, dostawszy niemowlę, nie mogły wiedzieć, jakowe jest jego prawdziwe imię.

Promieniejąca twarz starościny zmagła zamroczyła się zwątpieniem.

— Gadajże Waszmość: kiedy one ludzie nie wiedziały co to za dziecko, jakimże sposobem teraz wiedzą? Dziecko przecie samo sobie tego przypomnąć nie mogło, to rzecz niepodobna. Tedy gdzie dowód, że to Marysia? Moja, prawdziwa Marysia?

— Jest dowód, i nie jeden. A nasamprzód, dziecko miało szatki niebieskie ze złotą forbotką, sam-em je oglądał. Widzę ja, co Waszmość pani chcesz powiedzieć, że to nie żadna racya, bo niejedną dziewczkę mogły rodzice tak przybrać. Ale jest jenszy dowód, jasny jak słońce. Panienka miała na szyi szkaplérz...

— Ja nigdy jéj nie kładłam żadnego szkaplérza.

— Ale kto jenszy włożył. W onym szkaplérzu było pisanie. Mam je tu ze sobą. Czytaj, dobrodziko.

To mówiąc, wydobył z zanadrza szkaplerz, wyjął z niego pożółkłą kartkę, rozwinął ją i podał starościnie.

Ta, ledwie rzuciła okiem, krzyknęła:

— Boże Święty! Pisanie pani matki!...

Ręce jéj się trzęsły, usta drgały, jednak przemogła wzruszenie i głosem przerywanym czytała następne wyrazy:

„Ja, podkomorzyna Katarzyna Strusiowa, piszę to i we szkaplirzu świętym kładę na szyję mojéj wnuczki Marysi, dla okrutnéj paniki od Ordy, co już nasze somsiady plondruje i leda moment nas nawiedzi, a która, jako słyszę, już parę tysięców dziatek nabrała. Tedy, jeśliby mnie przyszło z woley Boskiéj zginąć od onych pogan, niechajże wiedzą, że to niemowlę, co samo świadkować za sobą nie może, ma za rodzice moją córkę, Orszulę, i jéj męża, JMci pana starostę Rocha Nałęcza, które mieszkają we Dobrowoli nad Wartą, i, jako ludzie znaczne, sowity okup za nią ochfiarują. A jeśliby nasi odbili dziecko, niechaj także wiedzą, komu ją trza oddać, i niech nie mieszkając oddadzą, za co Pan Bóg im będzie błogosławił i ja błogosławię, Amen. Salwuj nas, Jezu Chryste i wszyscy Jego Święci".

Nastąpiła chwila milczenia. Starościna siedziała z oczyma utkwionemi w papier. Zdawało się, że znowu kamienieje.

— A co? — zagadnął pan Kaźmiérz. — Czy rzecz nie jasna, jak słońce? Panna Hedwiga to Marysia, nikt jenszy.

Starościna, zamiast odpowiedzi, zaniosła się od gwałtownego płaczu, zaczęła całować to szkaplerz, to kartkę, i wołała ze łkaniem:

— Co to za okropny był moment, kiedyś ty to pisała, o moja dobrodziejko! Ostatni moment twego życia! Zaraz potém, co się to działo z tobą! Mordowana! Zamordowana!...

Potém podniosła oczy załzawione, obejrzała się po wszystkich i mówiła:

— No tak, ale co to za cudowna inspiracya podobną rzecz napisać! Żeby nie to, my by nigdy nic nie wiedzieli.

A gdy wszyscy przywtarzali:

— Dalibóg cudowna! To już sam Pan Bóg przedeśmiercią reweluje zacnym personom, co i jak mają czynić.

Ona tymczasem zamyśliła się i po chwili rzekła, patrząc w pana Kaźmiérza wzrokiem badawczym i jakby rozżalonym:

— Aleć to dziwna dziewka z téj Marysi... Tyle czasów miała tę kartkę i nie dała nam nijakiego sygnału? Tyle czasów my się nacierpieli!

— Och! Pani starościno! — zawołał pan Kaźmiérz. — Ona nic nie winna. Ona miała szkaplirz, ale nie wiedziała, czy tam jakowa kartka siedzi. Ktoby to mógł zgadnąć? Dopiero niedawniuchno trafił się osobliwszy casus, że szkaplirz jéj rozerwano, i wonczas dopiero sekret wyszedł na wiérzch.

— Ale czemuż ona sama nie zjachała do mnie? Czy chora, czy co?

Pan Kaźmiérz, zakłopotany, przez chwilę się wahał.

— Mościa dobrodziko, długoby to gadać... Chora, nie. Owszem, zdrowiuchna, gładka jak trzy aniołki, a dobra jak sześć, i słodka, i figielna, tandem rajski przy-

smak. Ale to właśnie sęk, że przysmak, bo i ten łakomiec Schultz to widzi, i jak teraz owdowiał, tak ją chce za żonę...

— Co? On? Ten szwab, z procederem?

— On, on. To też jakem na to patrzał, to mię taka cholera wzięła, że mu pannę wykradłem z domu precz.

Pani starościna zmieszała się. Rumieńce wyskoczyły na jéj wyschłe policzki.

— Panno Najświętsza! — wybąknęła. — I ona dała się wykraść? Czy ona ma dla Waszmości... jakowyś... godziwy affekt?

— Pani starościno! Nie zasłużon, jeno szczęśliw bierze. Nie wiem za co Pan Bóg mię faworyzuje, wżdy to rzecz pewna, że nakłonił do mnie serduszko téj anielskiéj panny, a jam ją upodobał nad życie i nad duszę własną. Ale cóż? Jachali my już w najlepsze do pewnego klasztora, gdzie nas ksiądz miał połączyć Sakramentem, kiedy ten szelma Niemiec dognał mię ze swymi bryganiami. Nec Hercules contra plures. Jak nasiedli na mnie całą kupą, tak mię i przestrzelili durch, żem już za nieboszczyka był mian, a panienkę porwali precz do miasta, i znowu trzeba nam ją odbić.

— Jezus Marya! Ależ to okropne rzeczy Waszmość mi powiedasz. A jak on ją tam zmusi do małżeństwa?

— Liczę ja na verbum panny starościanki. Uczyniła mi ona solenne obiecanie, i to pod gwarancyą księdza, że będzie czekała święcie, aż powrócę. Trza też wiedzieć, że jest przy niéj pewna dobra niewiasta, co nie da jéj krzywdy zrobić. Wszelako zawdy trza nam spieszyć, bo nie wiadomo, co Niemiec tam w swoim łbie wykoncypuje.

— Ach Boże! — mówiła starościna, czyniąc próżne

wysiłki dla powstania z krzesła. — Żebym ja się jeno mogła ruszyć, tobym tam zaraz leciała, zaraz! Gadaj, kawalerze, możeby wy mnie jakoś zawieźli?

— Ej, nie! Toby nas haniebnie zmarudziło, a ja powiedam, trza się spieszyć...

— No, to Władek pojedzie. We dwóch pojedziecie. Ale jak ja się was doczekam? Ja bez ten czas chyba uschnę!

— Ojoj! Pani starościna jeszcze się nie obejrzy, a my już z panną Maryanną tu powrócim.

— Na wesele! Na wasze wesele! — rzekła, przez łzy się uśmiéchając, i znowu ręce do niego wyciągnęła.

— Synu mój! Niechże cię przytulę do serca. Tyś krew za nią przeléwał, ty mi ją salwujesz, tyś mi ją zwiastował!

Pan Kaźmiérz przykląkł i, ściskając z uniesieniem jéj kolana, szeptał:

— Matko mojéj Jadwiśki! Matko nasza serdeczna!

A gdy całowała jego głowę, czuł, jak mu po włosach ciekły jéj łzy gorące.

W téj chwili owa srebrna iskra na dzwonniczce zaczęła chwiać się w tę i tamtą stronę, i brzmienie dzwonu, tętniące, uroczyste, radosne, rozległo się w przedwieczornéj ciszy.

Domownicy, którzy dotąd stali z rękami złożonemi, jak do modlitwy, zapatrzeni w pana Kaźmiérza, zasłuchani w jego rozmowie, teraz podnieśli oczy.

— Oho! Już jadą! — wykrzyknął rękodajny.

— Ach, jakież ich tu szczęście czeka! — zawołała

starościna, podnosząc twarz rozjaśnioną, a jéj źrenice, jeszcze łzami zasnute, zwróciły się ku lipowéj ulicy.

Pan Kaźmiérz wstał i także w tamtą stronę skierował spojrzenie.

Pod kościołem istotnie wszystko się kłębiło. Wkrótce też do brzmienia dzwonu domieszały się i jakieś inne dźwięki, dziwnie piskliwe i przenikające. Tłum zafalował po dwóch stronach drogi, runęły tętenty, krzyki, chrzęsty, i ukazał się weselny orszak.

Przodem szli grajkowie, draby tęgie i czerstwe, przybrane po janczarsku, w zielone kaftany, wyszyte błyszczącą taśmą, i w ogromne białe czapczyska, o wiszących nad uchem worach.

Najpiérwszy, sam jeden, stąpał dobosz, który na dwóch bębenkach, stufarbnych jak wielkanocne jaja, wykonywał krzyżową sztuką pałeczek niesłychane muzyczne figle.

Za nim, dwiema czwórkami, ośmiu innych; jedni dęli w trąby, drudzy w cienkie piszczałki; ten pobrząkiwał tryjangułem, tamten klaskał w miedziane talerzyki, ów trząchał prątkiem o stu dzwonkach; wszyscy na zabój wygrywali jakąś ogłuszającą turecką melopeję.

Za janczarami, na wysokich kołach, toczył się powóz, najmodniejszy wówczas, prześliczny, zwany brożkiem. Był to rodzaj kosza złocistego; z narożników jego wystrzelały cztery złote słupki, ukośnie ku górze rozchylone, a na słupkach spoczywał, równie złoty, misternie rzeźbiony baldachin. Całą tę budowę, kołyszącą się na pasach jakby łódka, ciągnęło sześć koni cugowych, ska-

rogniadych, zdobnych w pióropusze. Woźnica, siedzący na przodzie brożka, miał ubranie przepołowione we dwie barwy, krwistą i błękitną (kolory wiary i stałości), na piersiach i plecach strumienie złotych łańcuszków, przepięte od ramienia do ramienia i rzęsiście dzwoniące, a na czapce forgę ze wstęg czerwono-żółtych, które w pędzie chwiały się za nim, jakby płomień pochodni. Tak alegorycznie przystrojony, woźnica ten wyobrażał Hymen. Przed nim, na jednym z lejcowych koni siedział foryś, wdzięczne pacholę, w różowej katance, z łuczkiem i kołczanem u pleców, do których przypięto mu hussarskie skrzydła; ten miał przedstawiać lecącego przed Hymenem Amorka.

Tak pięknie wiezieni, w głębi brożka, pod baldachinem siedzieli Państwo Młodzi, para nadobna i, według słów starościny, „miłująca się po gołębiemu", chociaż (jak to najczęściej bywa) z samych przeciwieństw dobrana.

Oblubieniec, w krótkim złotolitym żupanie, z lamparcią deliurką wiszącą na barkach, z czaplą kitą i sobolową opuszką u kołpaka, z cudną damascenką u boku, miał oczy niebieskie, jak turkusy, różowe, uśmiechnięte usta, nad któremi wywijał się złoty wąsik, i tak w ruchach jak w obliczu jakąś uprzejmą pogodę, której twarde obozowe życie jeszcze nie zdołało przymroczyć.

Oblubienica za to miała piękność potrosze cygańską, tę piękność chmurną i namiętną, co to i odpycha i przyciąga. Pod strzechą włosów, czarnych aż do granatowego łysku, pod brwiami jakby węglem nakreślonemi, tkwiły oczy szeroko rozwarte, zwykle nieme i tylko jakby zadziwione; ale przy każdém wzruszeniu krzyżowały się

w nich błyskawice. Lica śniade rzadko kwitły rumieńcem; tylko wieczna czerwoność ust nieco grubych odkrawała się od nich jaskrawo, jakby rozcięty granat.

A ta burzliwość wejrzenia, ta ciemność włosa i cery, odbijały dzisiaj tém silniéj, że, według obyczaju polskiego, Panna Młoda od stóp do głów była w bieli.

Suknię miała ze srebrnéj lamy, przepinaną mnóstwem pontałów, czyli węzłów perłowych; u szyi kołniérz z mięsistych weneckich koronek, i takież velum aż do ziemi; na welonie kręcił się złoty łubek, opleciony w mirt i rozmaryn.

Tuż za brożkiem jechał inny wózek, otwarty i długi jakby wasąg, już nie złoty, ale wzorzysto malowany, pełen świergotu i chichotu, istny kosz kwiecia, bo tam na ławeczkach, rzęd za rzędem, usadowione były druchny, w jasnobarwnych jubkach i letniczkach, z pękami kwiatów u głowy i u piersi, z ciekawemi oczami, które strzelały to ku Pannie Młodéj, to ku drużbom.

Drużbowie harcowali konno po dwóch stronach brożka i panieńskiego kosza, wszyscy tacy śliczni a strojni, że aż się w oczach ćmiło; to rzucili piękne słówko któréj z druchen, to w mądrych zwrotach toczyli rumelijskimi wierzchowcami, na których srebrne siatki, kule i napierśniki pochrzęstywały szkliście; czasem, na wiwat, z guldynek dawali ognia.

Za wózkiem panieńskim toczyły się jeszcze kolébki o półokrągłych budach i rydwany o podwiniętych oponach, z poza których można było dojrzéć, migocące od brylantów i szmaragdów, spinki, krzyże, alszbanty, przytém fale złotych i srebrnych forbotów, przytém tęgie brokadye i miękkie dywtyki, bo tam długim szeregiem

jechały starsze i młodsze niewiasty, a z niemi najpoważniejsze męskie głowy; pan wojewoda, blizki krewny starościny, dwóch kasztelanów, podkomorzy, miejscowy proboszcz i różni inni duchowni, sproszeni na tę uroczystość. Wkoło kolasek jechało jeszcze konno mnóstwo mężczyzn, za nimi tłum widzów zwijał się powoli z dwóch brzegów gościńca i coraz nowe ogniwa dowiązywał do weselnego łańcucha.

Kiedy cały ten orszak pod promieniami zachodzącego słońca zaczął migotać, i płynąć i szumieć, panu Kaźmierzowi, stojącemu na ganku, wydało się, że stoi na pomoście „Łabędzia" i widzi lecący ku sobie, roziskrzony wał morski. Jedną ręką przysłonił oczy, drugą rękę podniósł i wykrzyknął:

— A to mi wesele! Jeszcze lepsze, niż tamte gdańskie. To mi po rycersku, po naszemu!

Już też okrzyki dopłynęły do bramy.

Janczarowie rozstąpili się, stanęli przy dwóch wjazdowych słupach, i brożek pierwszy wleciał na dziedziniec, a Hymen i Amor tak dzielnie pokierowali końmi, że choć w pełnym pędzie okrążały trawnik, przecież przed gankiem stanęły, jak wryte.

Pan Młody wyskoczył na stopnie (które nie były otwierane, ale wisiały nieruchomie, jak trzy pudła, kobierczykiem obite), chwycił Pannę Młodą pod ręce, wionął nią w powietrzu, jak obłokiem, i postawił na czerwonem suknie, po którem oboje wbiegli i upadli do nóg starościny.

Rękodajny co żywo podał tacę, ale matka, zapo-

mniawszy o wszystkiém, odepchnęła tę zawadę i, obejmując głowy nowożeńców, urywanym głosem wołała:

— Dzieci moje! Bóg wielki! Bóg dobry! Marysia się znalazła!... Krysiu moja, to za ciebie mi ją Pan Bóg oddaje! Władku, masz siostrę! Nasza Marysia żyje!...

Na te słowa Panna Młoda wydała krzyk gwałtowny, obsunęła się jeszcze niżéj, objęła nogi starościny i wołała:

— Czy może być? Żywa? O pani matko, jaka ty święta, kiedy Pan Bóg w takie konfidencye wchodzi z twojemi wotami! Ale gdzież ona, ta biédaczka?

— Gdzie Marysia? Dajcież ją sam! — wołał Pan Młody, oglądając się na wszystkie strony.

— Jeszcze jéj tu niémasz, ale da Bóg, będzie. Ten kawaler ją widział, powieda, że ją sprowadzi, patrzcie, oto IMci pan Korycki, jéj salvator, mój drugi syn, to będzie mąż Marysi!

Pan rotmistrz skoczył ku panu Kaźmiérzowi, objął go za szyję, całował w oba policzki, raz, i drugi, i trzeci, a wciąż wołał:

— Kochany! Setny chłopcze! Niechże cię! A toś cudotwórca! Święty Pański, czy co?

W téjże chwili Panna Młoda, wciąż na klęczkach, zwróciła się ku panu Kaźmiérzowi; nie spojrzała nawet, kto on taki, młody czy stary, pan czy parobek, tylko chwytała go za ręce, chciała je do ust ponieść i złkaniem wołała:

— Daj, daj, dobrodzieju! Niech ucałuję te ręce przezacne, co pani matce wróciły jéj skarb!

Pan Kaźmiérz, zakłopotany, wyrywał ręce i prosił:

— Dajże pokój Waćpani... A toć ja raczéj winien całować te hałłasowe rąsie.

Na takie kawalerskie słowa, klęcząca podniosła oczy, spostrzegła dopiéro teraz, że ów „dobrodziéj“ to dorodny młodzieniec, zerwała się zmieszana i spłonęła.

Pan Młody zawołał ze śmiéchem:

— A to mi się skonfundowała moja panna!

I patrzył dobrotliwie to na nią, to na niego, potém nagle zamyślił się i szepnął starszemu drużbie, który stał tuż przy nim:

— Jaki ten kawaler podobien do kogoś... Widzisz Waszmość? On i moja panna... A to istne dziwo...

— A prawda! — potwierdził drużba. — Podobniusieńcy, jakoby rodzeni. Osobliwsza rzecz, jakie to hazard wyprawia kombinacye!

Tymczasem kolebki jedne po drugich zajeżdżały, goście zapełniali schody, ganek, sień, i coraz tłumniéj cisnęli się do starościny, dla składania jéj weselnych powinszowań.

Wieść o znalezieniu się Marysi padła między to radosne zgromadzenie, jakby raca siarczysta, po któréj wybuchnął cały fajerwerk okrzyków, uniesień i podwojonych powinszowań. Starościna przedstawiała wszystkim pana Kaźmiérza, jako przeszłego i przyszłego zbawcę swojéj córki, chciała wysławiać jego męstwo i poświęcenie, ale w tym niezmiernym ścisku i zgiełku nikt prawie nie mógł jéj dosłyszéć. Tłoczono się więc znowu do pana Kaźmiérza, mężczyźni obsypywali go potężnymi uści-

skami, niewiasty wdzięcznemi spojrzeniami, a wszyscy oblegli tysiącem i tysiącem pytań.

Jednak rękodajny ciągle się pani domu napierał z chlebem i solą, a widząc, że na niego nie zważa, wsunął tacę tuż przed jéj oczy i, nachyliwszy się do jéj ucha, mówił:

— Pani starościno! Mościa pani! Trza koniecznie to oddać, bo jak Państwo Młodzi tego nie wezmą, to będzie zły omen.

— Masz Aspan racyę — odparła nakoniec. — Słuszną racyę. Krysiu! Władek! Chodźcie tu moje dzieci! Z onych emocyi nie pilnowałam ja się obyczaju starego. Niechże się święci choć teraz. Weźcie te dary boże, aby dom wasz nigdy nie zaznał głodu i aby żywot cały był wam smakowity.

Państwo Młodzi znów przyklękli przed matką, dla odebrania jéj darów, i nowy okrzyk obecnych potwierdził wyrażone przez nią życzenie.

Jeden tylko pan Kaźmiérz milczał.

Na to imię „Krysia", które kilka razy doleciało już jego uszu, myśl nowa, dziwna, przestrzelista, zaświtała w jego pojęciu. Przez chwilę stał osłupiały, nie słyszący pochwał ani pytań, jakiemi go wciąż oblegano, aż nagle rzucił się ku Pannie Młodéj, chwycił ją gwałtownie za rękę i zapytał zdławionym głosem:

— Tak to więc na imię Waćpani Krystyna?

— A jakże. Na Chrzcie Świętym dano mi: Krystyna. Jedyna téż to rzecz, co mi się ostała po moich biednych, zatraconych rodzicach. Ale pozwól Waszmość...

To mówiąc, wstawała od nóg staróściny i usiłowała wyciągnąć swoją rękę z rąk pana Kaźmiérza. Tymcza-

sem ten, zamiast puścić, coraz mocniéj ściskał i coraz natarczywiéj pytał:

— Jeszcze... jeszcze... Ile Waćpani lat miałaś, jak cię z domu wzięły pogany?

— Ach Boże! Co to Waszmość może obchodzić?

— Gadaj Waćpani, ja chcę wiedzié, ja muszę wiedzieć...

— A no, coś tak trzy czy cztery... Wszak prawda, pani matko?

— Czysta prawda — potwierdziła starościna. — Wyglądała na czterolatkę i już wcale dobrze gadała.

— Na miłość boską! — wołał pan Kaźmiérz głosem coraz mocniéj wzruszonym. — To właśnie, jak nasza Krysia. Bo trza wiedzieć Waćpaństwu, żem i ja w onym dziecinnym jassyrze utracił siostrę, co zwała się Krysia i miała kole czterech latek, i nigdy my jéj nie mogli odszukać.

— Czy może to być? — odparła Panna Młoda, którą także wzruszenie zaczęło już ogarniać.

— Cztery lata! — powtarzał Kaźmiérz. — Toć można już coś pamiętać. A Waszmość, pani Krystyno, nic nie pomnisz? Jak się zwali ci rodzice? To miejsce, gdzie siedzieli?

— A Boże mój! Żebym-ci ja to była wiedziała, toby mię pani starościna była zaraz do nich odwiezła. Ale mały dzieciak takowych rzeczy nie wié.

— I nic nie wspominasz sobie, nic?

— A jušci, pomnę różne rzeczy, jeno takie, co się na nic nie zdadzą.

— A może się i zdadzą. Proszę jeno powiedaj, bo ze mnie dusza chyba wyjdzie...

— Owóż tedy — mówiła Panna Młoda powoli, przesuwając rękę po czole — pomnę panią matkę, że była cieniuchna...

— Tak, tak, była subtelna i nie wysoka.

— I nie wysoka. I miała u pasa rożańczyk, to ja się z nim precz bawiłam.

— A miała, miała, i ja pamiętam.

— A pan ociec owszem był duży i wąsy miał okrutne, aż ja ich się bojałam.

— Siwe, co?

— Ale gdzież znowu? Czarniusieńkie, jak wiszące dwa pióra od kruka.

— No tak, prawda, wonczas one jeszcze były czarne. Tak, pan ociec i dziś ma wąsy długie, o! tyle. A wżdy to jeszcze nic nie znaczy. U nas, co bogobojna białogłowa, to z różańcem, a co mąż rycerski, to wąsal.

— Czekaj-no Waszmość, ja jeszcze coś o panu oćcu powiem... rzecz to ucieszna, chociaż ja także się tego bojałam. Oto, jak był komu rad, abo się komu dziwował, to zawdy mawiał: „A niechże cię Turek zjé!"

— Jezu Marya! Józefie Święty! A toć to akurat przysłowie pana oćca, pana miecznika! A toć to Waćpani chyba nasza Krysia, bo niéma na świecie drugiego człeka z tém proverbium, ja przynajmniéj na takiego drugiego jeszczem się nie natknął. Jezu Marya! Co jeszcze wiész? Jaki to tam u nas dom? Jaki sad?

— O! To mi się w głowie nie ostało. Wiem jeno, że za sadem, nad jakowąś wodą, była góra...

— Nie góra, jeno kopiec, stary graniczny kopiec...

— Może to kopiec, ale dla mnie małéj to była cała

góra. Jam się tam zawdy gramoliła, aby patrzéć, jak się tam bawili moi trzéj braciszkowie...

— Trzéj? Więc i ty miałaś trzech? A pamiętasz, jak się nazowali?

— O! To pamiętam. Stasio, Adaś i Kazio...

— Boże mój! Toć ja jestem ten Kazio! Krysiu! Tyś moja Krysia!... Już teraz jabym przysiągł, żeś ty prawdziwa Krysia!

I porwał ją w objęcia i w gwałtownych uściskach zapytywał jeszcze:

— A pamiętasz ty starą klucznicę Anusię?

— A jakoż? Tę z plastrem na oku?

— Tak, tak właśnie! Ona wszystko wié!... A tę historyę ze studnią pamiętasz?

— Ach, ze studnią! Abo ja to raz powiedałam pani starościnie, jak to Kaziowi biczyk wpadł do wody...

— A tak, tak, w sam raz biczyk.

— I kiedy chciał go złapać, przegibnął się przez cembrunek, i już leci w dół, ale to taki był mądry, że złapał się liny od wiadra, a jak my dzieci zaczęły krzyczéć, tak się ludzie zlecieli i wyciągnęli go z wiadrem, aż pan ociec go po twarzy poklepał i powiedział: „A toś mi zuch, niech cię Turek zjé“.

— Boże miłosierny! — krzyczał pan Kaźmiérz, chwytając się za głowę. — Słyszycie Waćpaństwo? A toż powieda rzeczy takie, o jakich nikt na świecie nie wié, jeno ja! To Krysia!...

I znów oplatał ją uściskiem, aż twardym od gwałtowności. Po chwili puścił i runął do nóg starościny.

— Święta nasza pani! Tyś nam ją zasalwowała! Niechże cię Bóg nagrodzi!

Starościna długo nie mogła odpowiedzieć, bo ze szczęścia znów zanosiła się od płaczu. Nakoniec, kładąc rękę na głowie młodzieńca, rzekła:

— Już nagrodził mię, już nagrodził przez ciebie, mój złoty chłopcze! Wszakci tyś mi zasalwował Marysię.

I znów lała te słodkie łzy, w których zwolna tonęły wszystkie jéj dawne bóle. A i w błękitnych oczach Pana Młodego także coś przeświécało, jakby szklące się krople.

Krysia nie płakała. Nigdy ona do łez nie była skora, tylko w oczach jéj głęboko robiły się łyskania i w piersiach podniesionych serce biło młotem.

Teraz ona chwyciła ręce Kaźmiérza i pytała z rodzajem struchlenia:

— Mówże! Rodzice żywe? Bracia żywe?

— Pan ociec żyw, dzięki Bogu. Pani matka... ach, Pan Bóg dawno ją wziął do swojéj chwały. O czemu téż to nie dożyła? I Stasio, i Adaś téż. Śpią oba na stepach, gdzie kości położyli w srogich potrzebach z poganinem. Zawsze gadali, jako idą pomścić się za Krysię. A tymczasem ona żywie! Ach, co to pan miecznik, pan ociec powié, jak obaczy?

— I gdzież on jest? Gdzie ociec?

— W Czarnorudce.

— Ach, Czarnorudka! Tak! tak! to tak się nazywało... Ja przez te wszystkie lata szukałam onéj nazwy, chodziła mi po głowie, a nie chciała wyjść... Czarnorudka! I ociec sam jeden tam siedzi?

— A sam. Nieraz mawiał: „Żeby jeno Krysia przy mnie była, tobym ja wszędy miał raj“. No, i będzie miał raj!

Gdy tak zamieniali coraz cichsze zwierzenia, przerywane tylko słowami starościny i rotmistrza, tymczasem reszta zgromadzenia coraz szerszém kolem odsuwała się od nich.

Początku téj rozmowy obecni słuchali z najwyższém natężeniem uwagi, przy poznaniu się brata z siostrą wybuchnęli krótkim, stłumionym wykrzykiem, ale po tym jednym wykrzyku nastała ogólna cisza. Jeśli piérwsza wieść o znalezieniu się Marysi wznieciła radość głośną, czysto ludzką, to druga przeciwnie obudziła rodzaj świętéj trwogi. Tyle naraz szczęścia to już chyba za wiele na ten świat ułomny! Wszystkim się wydało, że coś nadziemskiego przechodzi między niemi niewidzialnie, i zamilkli, jak podczas przelotu anioła.

Czuł téż każdy, ile obecność tłumów musi ciężyć tym szczęśliwym, coby chcieli wywnętrzyć się do woli. Nieznacznie więc ganek opustoszał; zaczęto się rozchodzić gromadkami, które, krążąc to po domu, to po dziedzińcu, toczyły przyciszone rozmowy o dziwach Opatrzności boskiéj.

Patrzący na to pan marszałek zafrasował się, przystąpił do pani domu i szepnął:

— Mościa pani starościno! A nie godziłoż-by się to już podać wieczerzy? Goście nam się jakoś rozłażą, pewnie i głodni...

— Czyń Aspan. co chcesz, co sam żywnie chcesz. Ja już nic nie rozumiem... Ja od szczęśliwości tracę głowę...

— I ja tracę głowę... — przywtórzyła z niejaką go-

ryczą Krysia. — Wciąż gadam i myślę o mojéj personie, a jam nie powinna teraz myśléć o niczém, jeno o téj nieszczęsnéj Marysi, co tam jeszcze kołacze się w onych jakowychś niebezpiecznościach... Co tu robić? Co tu robić? trzać ją na gwałt ratować.

— Już nad tém nie susz sobie łebka, moja panno — odparł z uśmiechem pan Władysław. — Już od tego my dwaj, IMci pan Korycki i ja. Waszmość znasz najlepiéj tamtejsze konjunktury, to mi powiesz, co trza czynić, aby tę rzecz przeprocesować cum honore et successu. Szkoda, żeś Waszmość trafił na taki tumult w domu: ale niechno się tylko z weselem uładzę, zaraz na koń i jazda!

Tu, zwróciwszy się do Panny Młodej, zapytał:

— Tylko cóż moja panna powié na to, że ledwie-ci dostała męża, już ten mąż drala do morza?

Krysia odrzekła głosem nieco twardym:

— Żebyś Waszmość nie był powiedział: „Jadę!", tobym Waszmości posłała moją kądziel, a sama-bym pojachała między Niemce i wykradła moją przyszłą bratową, boć ona tu piérwsza, niż ja.

— Oho-ho! To mi Herodek! — zawołał śmiejąc się Pan Młody. — Ale nie szkodzi nic. To właśnie żonka dla rotmistrza. Niech-no mię kiedy usieką w potrzebie, to ty zaraz weźmiesz komendę nad moją rotą i poprowadzisz ją na Niemce, abo i na pogany, co?

Tak mówiąc, objął ręką jéj kibić i ukradkiem, poza welonem, chciał całować jéj szkarłatne usta. Ale dzika dziewczyna broniła się ostro, mówiąc:

— Wstydź się Waszmość... w oczach kompanii!

W téj chwili boczne drzwi sieni się rozwarły, i z głębi domu zabrzmiała muzyka, już nie żadne pogańskie piszczki, ale uczciwa domorosła kapela, z cudzoziemskim na czele kapelmistrzem. (Który nawet za Włocha się podawał, choć podobno był tylko Czechem).

Na to hasło, goście zaczęli napływać do sieni, a stamtąd, stu parami, do sali.

Była to sala tak wielka, że cały dom z końca w koniec przerzynała. Od sztucznie struganych belek pułapu zwieszały się grube mosiężne świeczniki, w których seciny świec woskowych płonęły, bo zmrok już dobrze zapadał; już i na dworze zapalano smolne beczki, których blask napływał purpurowemi wstęgami przez okna wycięte na przestał w obu końcach sali. Pod tém oświetleniem ściany niby ruszały się i mrugały od szeregu wązkich, wysokich portretów i równie wysokich kredensów, których półki pełne kosztownych mis i roztruchanów. Środkiem sali ciągnął się stół wązki, zgięty w długą podkowę, także jarzący od sreber, pstry od pękatych bukietów i malowanych lalek z cukru.

Naprzeciw drzwi wejściowych roztwierał się zazwyczaj komin; teraz jednak, jako w porze letniéj, był on zasunięty różnobarwną perską makatą, na któréj przypięte krzyżowały się proporce i pęki broni. Nad kominem, pod samym stropem, wisiał drewniany chórek; tam to kapela rzęsiście wygrywała weselnego marsza.

Przy jego dźwiękach zaczęto siadać do stołu. Pan Kaźmiérz, jako młody, wcisnął się skromnie na ubocze

i chciał usiąść przy niższym końcu. Ale od szczytu podkowy, zajętego przez nowożeńców, starościnę i wysokie matadory, ozwały się głosy:

— Gdzie Imci pan Korycki? Pani starościna prosi! Dawaj go sam!

I pan wojewoda, porwawszy Kaźmiérza za ramiona, posadził go między sobą a panią starościną, mówiąc:

— Siadaj Waszmość kole majestatu, boś ty tu dzisiaj poseł największego z Króli.

Początek wieczerzy przeszedł dość milcząco. Goście, jak mówiliśmy, byli nieswoi od wzruszeń, a przytém i znużeni całodziennym szeregiem nabożeństw, powinszowań i oracyi. W cichości więc, choć nie bez ochoty, wypróżniali półmiski. Jedna starościna nic a nic jeść nie mogła, tylko półgłosem zadawała Kaźmiérzowi coraz nowe pytania, dotyczące to Marysi, to Krysi, a nowożeńcy pochylali się nad stołem, ażeby dosłyszéć odpowiedzi, co im jednak niełatwo przychodziło, dla muzyki rozgłośnie odbijającéj się o ściany.

Powoli, gdy pierwszy głód został zaspokojony, wszystkie głowy zaczęły się zwracać ku szepczącym, a w końcu drugiego dania jedna ze starszych niewiast, siedząca niedaleko Panny Młodéj, nie mogła już wytrzymać i zagadnęła:

— Mości panie Korycki! Jeżeli w historyi Waszmościnéj niéma jakich srogich misteryów, i jeśli pani starościna da na to permissyę, możeby téż i my coś posłyszeli? Radziby my wiedziéć, z jakowych to nieprzezpieczności Waszmość wywiodłeś tę panienkę i jakowemi merytami wysłużyłeś sobie jéj przyjaźń.

Żądanie to zostało żywo poparte przez wszystkich

obecnych, zwłaszcza przez kobiety, którym oczy aż świéciły się od ciekawości.

Pan Kaźmiérz zamienił ze starościną kilka cichych słówek, poczém odpowiedział:

— Uczciwać to historya, niéma czego się wstydać, jenobym ja wolał, aby ją kto jenszy recytował, bo to zawdy nieprzystojna własnym akcyom świadczyć.

— Nie zważaj Waszmość, jeno powiedaj! — okrzyknięto dokoła. — Daléj! A nic nie łykaj, czyń narracyę ab ovo. Kiedy Pan Bóg cię tu przysłał akurat dziś, to widocznie chciał, aby my wszyscy cię słyszeli.

Dano znak muzyce, która wnet przycichła, i pan Kaźmiérz zaczął opowiadać swoje poznanie się z panem Schultzem i panną Hedwigą, i wszystkie przygody wynikłe z owéj znajomości. Z początku nieco się plątał, gdyż usiłował jak najmniéj mówić o sobie; ale prędko spostrzegł, że to będzie rzeczą niemożliwą; jego udział w tych wypadkach był zanadto wielki, ażeby mógł być pominięty. Przestał się więc krępować i z żołnierską szczerością wypowiadał słuchaczom swoje oburzenie na majstrowe zaloty, swoją chęć wykradzenia ofiary i jéj wstydliwy opór, potém jéj uwięzienie na poddaszu i napowietrzne porwanie.

Przyrodzona fantazya, prawdziwość uczucia i żyjące świadectwo dawały tym obrazom tyle ruchu i gorącości, że cała sala zawisła na jego ustach. Mężczyźni przytakiwali mu wykrzyknikami:

— Tęgoś Waszmość się spisał!

— Licho bierz Niemce i Ollendry!

— A to mi peregrynacya per obłokam!

Panny zaś po kątkach aż piszczały z radości, a w du-

chu zazdrościły téj pannie, co była dosyć szczęśliwa, aby przechodzić tak piękne nieszczęścia.

Cóż dopiero, kiedy opowiadacz jął malować bitwę na pustém polu, odbicie ofiary i swoją rzekomą śmierć. W całéj sali zrobiło się cicho, jak w kościele.

— Ilem ja czasu był umarły? Nie wiem — ciągnął mówca. — To jeno pomnę, że, gdym przyszedł do się gdym się obaczył w celi oćca Błażeja, myślałem, żem już w Paradisium, w klasztorze Pana Jezusa, gdzie Święci posługują duszom wyszłym z konania, i dziękowałem Panu Bogu, że mię nie wsadził do miejsca pokuty, z czego zaprawdę ja ciężki peccator mogłem być kontent. Wszelako wyznawam, żem był jeszcze kontentniejszy, kiedy mi powiedziano, żem żyw i że jestem na tym samym świecie, po którym chodzi moja panna. Powiedziano mi także, jako i ona żywa i zdrowa, i na mnie constante myśli czekać, tak żem od onych extazów mało drugi raz nie umierał. Dałem się tedy cierpliwie opatrować i wciąż niby spałem, jeno serce we mnie dyszało. Czasem téż przychodziła służebna pani Korwiczkowéj, téj, co to— jak mówiłem Waszmościom — była naszą prowidencyą. Ta mi gadała, jako panna Hedwiga... to jest panna Maryanna, kłania się mnie i życzy zdrowia, i będzie onego Niemca zwodziła czekaniem aż do mojego wyzdrowienia, a jak wyńdę z téj febris, to się dowiem o czémś takiém, co nas wszystkich wyniesie na pinaculum wszelakich szczęśliwości. Jam tedy precz leżał, a dzień i noc medytował, co to takiego być może? Aż kiedy gorączka we mnie oziębła, ociec Damian, Dominikanin, spowiednik

panny Maryanny, a człek mądry jako drugi Paweł Święty, pokazał mi ten szkaplirz z pisaniem i powiedział, jako panna Hedwiga nie chce tego skarbu powierzyć nikomu jenszemu, jeno temu, komu powierzyć ma i swoją personę. Wtedy jużem nie mógł uleżéć, i chocia perswadowali, chocia chcieli wiązać mię do łoża, jam uciekł im z klasztora, kazał się zanieść na szkutę, położyli mię tam flisaki w izdebce na słomie i wieźli w górę Wisłą bez dni kilka. Potém też i tylem już otrzeźwiał, żem się pachołkowi kazał wsadzić na konia, dotarli my do Warty, i choć to ja nigdy w tych stroniech nie bywał, wszelako, jakem zaczął od wsi do wsi zaglądać, a dopytować się, gdzie ona zaczarowana Dobrowola, takem i zajachał przed ganek Imci pani staróściny dobrodziki.

Na słuchaniu téj opowieści zeszła prawie cała wieczerza. Dania jedne po drugich mijały niepostrzeżone, ku wielkiemu umartwieniu pana marszałka i piwnicznego, bo goście jedli najwytworniejsze przysmaki, a żadnego nie pochwalili, łykali najlepsze wina i miody, a nie pomyśleli o zdrowiach.

Gdy pan Kaźmiérz dojeżdżał z opowiadaniem do dworu dobrowolskiego, już wety były blizkie końca.

W téj chwili podano wielki puhar beznożny, zwany Kulasem, sadzony staremi monetami. Na jego widok dopiero pan wojewoda przypomniał sobie, co należy czynić przy uczcie weselnéj. Ujął zatém czarę w obie ogromne ręce, wstał i ogromnym głosem przemówił:

— Dawno to już ludzie mogli dokumentnie observare, że najmilszy Niebu taki Hymen, gdzie się łączy pulchrum cum bellico.

Stąd propensya gładkich dziewek do rycerskich mężów. Stąd wdzięczna Cypryda uśmiécha się do srogiego Marsa. Stąd i dzisiejsza Oblubienica, którąby my dla jéj urody chętliwie zwali Pulcheryą, ale którą dla jéj chrześcijańskiej nabożności mianujemy Krystyną, ślubuje wiarę JMci panu rotmistrzowi, na którego wojenne przewagi, mimo jego let wczesnych, nieraz my już z admiracyą patrzali. A ile takowe stadła są na rękę Niebu, to sama dziś Opatrzność pokazowa, kiedy jak ulał w dzień tego Hymenu przysyła wieść mirakulozną i jawném to czyni, jako Pan Bóg, co zawdy lubi krzyże, tak singulare pokrzyżował destynacye tych dwóch siostr i dwóch braci, że z onego krzyża wyszło im zbawienie. Tandem, święcim dubeltowy fest. Ciesz się więc dubeltowo, zacna rodzicielko, jako my się cieszym, wołający: Niech żyją Państwo Młodzi!

— Niech żyją! Vivant! Vivant! — odkrzyknięto zewsząd.

Kapelmistrz, znudzony długą bezczynnością, zerwał się wesoło, podniósł pałeczkę, i muzykanci urznęli fanfarę godową.

Na to hasło tylko czekał zdawna przyczajony puszkarz, i wnet pod oknami zaczęto bić z moździerzy.

Po zdrowiu Państwa Młodych, pierwszy drużba, wiodący rej między młodzieżą, krępy i czupurny pan Doderko, wstał z podniesionym puharem:

— A teraz — wykrzyknął — zdrowie drugiéj młodéj pary, zacnego JMci pana Koryckiego, Achilla téj cudownéj awantury, i pięknéj Maryanny czy Hedwigi, a po prawdzie powiedziałszy, nowéj Heleny, co jęczy uwięziona w gdańskiéj Troi. Obyśmy jak najrychléj pili na na ich weselu!

— Jak najrychléj! Jak najrychléj! — odkrzyknęli wszyscy i rzucili się ku pani starościnie z kielichami w rękach, z życzeniami na ustach. Kapelmistrz, widząc to poruszenie, dał znak na drugą fanfarę, i wnet moździerze znów huknęły.

Pani starościna chciała dziękować słowem i uśmiéchem, ale oczy jéj łzami nabiegały. Kieliszek, ledwie tknięty, postawiła napowrót i zdławionym głosem odrzekła:

— Oby tylko ta nieboraczka doczekała onego uwolnienia! Oby tymczasem lutry nie zabrały jéj w nowy jassyr!

— Nie turbujcie się, pani matko — rzekł Pan Młody, chyląc się do jéj kolan i całując jéj ręce. — Zaraz jutro, ze słonkiem wyjedziem, co tchu, a nim się lutry opatrzą, już ona u twoich nóg będzie leżała.

Pani starościna uścisnęła głowę synowską, ale nic nie odrzekła.

Za to, ledwie usiadł, Panna Młoda pochyliła się ku niemu i szepnęła mu jakieś tajemnicze słówko.

Usłyszawszy je, Pan Młody poczerwieniał, zwrócił na małżonkę oczy i odpowiedział głosem, którego wybuchów nie mógł od wzruszenia zupełnie przyciszyć:

— Jakoż to może być, moja panno? Ledwieś mi przysięgła przed ołtarzem, a już mię odpuszczasz od siebie?

Pani starościna, dosłyszawszy te wyrazy, nachyliła się ku młodéj parze i spytała z uśmiéchem:

— Co to, moje dzieci? Już kłótnia małżeńska? Dalibóg, zaczynacie wczas.

— Ależ, proszę pani matki — odparł żywo Pan Młody — jakoż to może być? Ona chce, abym jachał nie jutro, jeno zaraz, teraz, téj minuty.

— O tak! — przywtórzyła stanowczo Panna Młoda.— Téj minuty, bo każda minuta czekania dla pani matki to sto lat boleści, każda minuta zwlekania dla naszéj Marysi to może jéj zguba. Nie grzech-że to taraszkować w słodyczach affektu, kiedy tamta jęczy w niewoli? Abo to raz widziano, jako dla jednéj uciesznéj godziny przegrane były batalie, utracone miasta? Nie! Ja póty nie pozwolę sobie przypiąć małżeńskiego czepca, dopóka mój pan małżonek nie sprowadzi tu do nóg pani matce jéj prawdziwéj córki. Nie pozwolę. Nie! I nie!

Mówiąc to, Krysia mimowoli podniosła głos tętniący śpiżowém brzmieniem, i dopiero przy ostatnich wyrazach spostrzegła, że cały stół, zaciekawiony tą sprzeczką nowożeńców, zamilkł i przysłuchiwał się jéj słowom. Zmieszana, pokraśniała i spuściła zawstydzone oczy.

Ale, zamiast wstydu, spotkał ją głośny tryumf.

— A to Amazonka! — ozwało się kilka głosów.

— Rezolutka!

— I abnegatka!

Ozwały się inne.

A starościna szepnęła ze wzruszeniem:

— Krysiu moja złota, pójdźże, niechże cię uścisnę... Zgadłaś moje ciche desiderium... Ach tak, jabym chciała, aby oni już byli w drodze...

I nadbiegającą Krysię całowała po jéj białém velum.

Tymczasem pan Wojewoda wołał:

— Mości panie rotmistrzu, niéma rady! Z takową Rzymianką nie przelewki. Musisz Waszmość jachać i zasługować sobie dopiero na koronę szczęścia.

Pan Młody wstał i, stuknąwszy o stół pustym kielichem, odpowiedział:

— Teraz tedy, kiedy moja małżonka sama spuszcza mię ze złotéj obroży, wolno mi wyznać, że i memu braterskiemu sercu niemniéj pilno do wytropienia mojéj panny siostry i do naganki na Niemców. Tedy jadę, i to tego momentu. Waszmość państwo daléj sobie zdrowi bankietujcie, ja siadam na koń i rżnę do Gdańska.

Wszyscy obecni przyklasnęli. Tylko pani starościna, położywszy dłoń na jego ręce, rzekła z niejakiém wahaniem:

— Synku, dobry to ferwor, wszelako trzeba nam wiedziéć, czy IMci panu Koryckiemu będzie wygodnie tak rychło mój dom opuszczać? Wszakci on niedawno z konia zsiadł. A co gorzéj, niedawno z łoża wstał. Wszakci on kulą był połupan i jeszcze wygląda, jak mizerak. Możeby chciał choć tę jedną noc się wywczasować?

Tak nalegała słowami, ale oczy jéj, wlepione błagalnie w pana Kaźmiérza, mówiły co innego. Pan Kaźmiérz nie potrzebował podniety jéj błagań. Zerwał się i krzyknął:

— Ja? Wywczasować? A toć ja pono i tak oka nie zmrużę, dopóka nie zliberujem panny starościanki. A żebym był i na dwie połówki przełupan, tobym się kazał

zszyć różową nicią i siadł nie mieszkając na koń, jak to natychmiast uczynię.

Tu pan Dederko podniósł kielich i zawołał:

— Oto mi godne kawalery! Takich lubię! Zdrowie dwóch zacnych przyszłych szwagrów!

A gdy fanfara przecięła mu dalsze słowa, odwrócił się gniewnie.

— Cicho, muzykusy! Jeszczem nie skończył. Owóż tedy, powiedam, zwyczajna Msza jest piękna, ale z assystą piękniejsza. Godziż się i tę nabożną akcyę odbywać bez assystencyi? Wiemci ja wprawdzie, że takie dwa Hektory gotowe są zmódz i całą armię dyabłów heretyckich, wszelako sukkurs nigdy nie zawadzi. Ja tedy zapisowam się pod chorągiew opprymowanéj niewinności i takoż z Waszmościami jadę. Kto więcéj chce jachać? — zapytał, oglądając się po zgromadzeniu.

— I mnie proszę zapisać! — zawołał jeden z obecnych.

— I mnie!

— I mnie.

— I nas!

Po zliczeniu głosów, okazało się, iż jest siedmiu ochotników. Byli to wszystko ludzie młodzi, niezwiązani żadnym rodzinnym obowiązkiem, wszyscy dorodni, chciwi rzeczy niezwykłych, a zwłaszcza miłosnych; to téż i ta wyprawa pociągnęła ich swoją rycerską cechą.

Wszyscy jak stali, razem ze swymi dwoma przywódcami, przypadli do kolan pani starościny, prosząc o błogosławieństwo na drogę. Ta ich w kolej polecała

Panu Bogu i dziękowała za współczucie, okazane jéj dziecięciu.

Na ten widok, całe towarzystwo zamilkło z namaszczeniem, a potém ruszyło się od stołu, aby odjeżdżających żegnać i przeprowadzać.

Nim jednak opuszczono salę, jeden z ochotników zawołał:

— Mości panowie! Wracajcieś! Uczyńmy jeszcze koło i złóżmy consilium bellicum, co robić i jak robić. Bo kampania bez planu dyabla warta.

— Za pozwoleniem — odparł Pan Młody. — To już ostawmy IMci panu Koryckiemu. Wszystko, co ten zacny kawaler uczynił dla mojéj panny siostry, daje mu prawo do buławy. Niechże więc on obmyśli nam cały plan kampanii, a ja pierwszy idę pod rozkazy naszego hetmana.

— Panowie bracia, zmiłujcie się! — krzyknął pan Dederko. — Po co tu plany? Po co tu consilia? Zrobim zajazd na dom onego majstra, jemu łeb ukręcim, czeladników powywieszamy, pannę starościankę na koń, i skończona kampania.

— O! Co tak, to nie! — przerwała żywo pani starościna. — Waszmoście chyba niémacie Boga w sercu? Jakoż to? Chcecie odbierać żywot człowiekowi, co Marysię uchronił od pogan? Boć tak czy owak, zawdyć on ją uchronił i na swoim sumpcie chował. Władku, słuchaj: róbcie rzecz politycznie. Co prawda, Szwab i Luter, i srogi na nią ciemiężyciel, a wtedy, jeśli można odbić Marysię bez rozlewu krwi, to będzie mi lżéj na sumieniu.

Tu ozwał się pan Kaźmiérz:

— Gdybym słuchał jeno głosów affektu i słusznéj koleryi, trzymałbym z IMci panem Dederką. Ale tu pono pani starościna przemówiła i jako pobożna niewiasta, i jako mądry statysta. Bo dom onego majstra, mości panowie, to nie dworek na wsi, co go można rozrzucić i spalić, i pojachać sobie het z wiktoryą. Tam cała respublika gdańska przyjdzie majstrowi na odsiecz, a ten Gdańsk to bestya harda, co nieraz i Królowi Jegomości do oczu skakała. Tedy, kto tam chce wygrać, niech ma za sobą Senat miejski. Póki ja, człek obcy, chciałem onemu tutorowi odebrać jego pupilkę, a słuszniéj mówiąc, wiktymę, to te wszystkie łyczkowe senatory, a jego piwne koleżki, były za nim, i głupie ich prawo było za nim. Ale jak IMci pan Władysław Nałęcz stawi się in persona po swoję rodzoną, to będą musieli z jenszéj beczki pociągnąć, żeby tam dyabła zjedli, to z jenszéj. Tylko niech pan starościc weźmie wszelakie potrzebne pergaminy, aby mógł dowieść jasno, jak na dłoni, że jest z niego prawdziwy pan starościc, i niechaj weźmie ów szkaplirz z pisaniem, aby dowiódł, że panna Hedwiga jest prawa starościanka. Pójdziem do burmistrzów i wszystko to zaświadczym, a wonczas już nie my, jeno sam Urząd miejski weźmie pannę starościankę za rękę i solenniter odda ją familii.

— Wszystko to pięknie, ale jakoś pachnie mi jurystą — ofuknął pan Dederko. — A jeśli też Niemiec uparciuch, nie bacząc na żadne pergaminy ani urzęda, powié: „Nie oddam panny“ i zacznie się bronić kułakiem, to co?

— A no, to wtedy może przyjść do szabelek, ja nie

od tego, Mościpanie — odparł, zaciskając pięść, pan Kaźmiérz.

— Panno Najświętsza! Nie irrytujcie Szwaba... — wołała starościna. — On gotów jeszcze, na złość wam, zabić tę niebogę...

— Nie, matuchno, nie damy jéj zabić, weźmiem się do rzeczy politycznie — zapewniał pan rotmistrz i, raz jeszcze ucałowawszy ręce matki, sunął co żywo do skarbczyka, dla wyszukania potrzebnych dokumentów.

Zaraz téż mężczyźni rozbiegli się po domu, ci dla nawoływania służby, tamci dla zbierania podróżnych manatków. Niewiasty obsiadły starościnę i cieszyły ją wesołemi nadziejami. Tylko panny popłakiwały po kątkach z żalu, że je ominie cała noc tańców i zabawy, a zwłaszcza owe oczepiny, przy których niejedna obiecywała sobie, że poszuka szczęśliwéj wróżby i pierwsza skoczy do zydla opróżnionego przez Krysię.

Ale Krysia w téj chwili czém inném była zajęta. Skinęła na brata. Po krótkiéj naradzie, przeszli do alkierza, dobyli z kantorka inkaust, pióra, papier, i pan Kaźmiérz machnął list do ojca. List był kruciuchny i bezładny, ale ognisty, jak dusza piszącego. Uwiadamiał on w nim tylko z uniesieniem o cudownem odnalezieniu Krysi, a następnie składał prośby, tak od córki jak od pani starościny, aby pan miecznik raczył zjechać do nich co najprędzéj, bo Krysia nie może teraz odstąpić swojéj choréj dobrodziejki, a chciałaby téj godziny paść do nóg ojcowskich. O sobie mało wspomniał, przepraszał tylko, że nie jedzie naprzeciw dobrodzieja, gdyż musi pędem wracać jeszcze do Gdańska, gdzie ma się rozstrzygnąć całe jego szczęście.

Ze swojém grubém i zamaszystém pismem pan Kaźmiérz prędko doleciał do końca drugiéj stronicy. Wtedy Krysia, czytająca przez jego ramię, ozwała się:

— Dosyć, dosyć, panie bracie. Ostawcież i dla mnie kęsek miejsca, niechże i ja wypiszę moje submissye i nowe molestacye o rychłe da Bóg zjachanie do nas. Ach, jak pomyślę, że mam obaczyć oćca rodzonego, to aż mi w piersiach coś kołacze. Jeszcze Waszmość wypisz na wierzchu, i to długo i szeroko, gdzie jest owa Czarnorudka? A jak oświtnie, zaraz całe to pisanie oddam panu rękodajnemu. On z panią starościną bywał ongi w tamtych stroniech, a przytém z niego taki mądral, że co chce i kogo chce, choćby pod ziemią, wynajdzie. Skończone, dobrze. No, teraz jeszcze raz się uściskajmy, a potém na łeb na szyję lećcie po tę biedną Marysię. Już ja dosyć długo zabierałam w tym domu jéj miejsce, niechże i ona dostanie swój talerz łakoci.

Już też na gwałt przywoływano pana Kaźmiérza. Wyrwał się z objęć siostry, skoczył do czeladni.

— Maciek! Siodłać konie! Jadę do Gdańska, i ty siadaj co duchu!

Maciek, zajadający właśnie doskonałe naleśniki z powidłami, usta miał pełne słodyczy, serce zaś pełne téj nadziei, że całą noc weselną przepije, a cały dzień następny prześpi rozkosznie w dostatnim domu starościńskim.

Na wieść tak niespodzianą, mało się nie zadławił przysmakiem i z najwyższym podziwem wybełkotał przeciągłe:

— Ju-u-u-ż?

— A już, już. I ty, Maćku, już nie będziesz beczał,

jeno zawdy będziesz się śmiał, bo czy wiész, co ci powiem? Nasza Krysia się znalazła, i familia panny Hedwigi się znalazła, i wszystko się fortuni, a wszystko to przez ciebie, Maćku, przez to, żeś onéj liny nie wyhissował. Niech cię Pan Bóg błogosławi za twoje mazgajstwo.

Maciek chwilę pomilczał, poskrobał się w głowę, nakoniec zrozumiał i rymnął do nóg pańskich. Wszakże nadzieja pana Kaźmiérza została omylona, nie roześmiał się bowiem, ale znów zaczął płakać, gdzie tam płakać? Ryczał z radości.

Potém wyleciał, jak szalony, i po chwili wyprowadzał na dziedziniec osiodłanego bułanka.

Nie był tam pierwszym. Konie stały już okulbaczone, tylko jeszcze przytraczano do nich węzełki podróżne, zwłaszcza broń rozmaitą, w którą nasi rycerze chcieli się na wszelki wypadek dostatnio zaopatrzyć; wprawdzie sami jéj nie przywieźli, bo na wesele zjechali tylko przy szablach, ale pan rotmistrz dostarczył im jéj suto. Każdy, co chciał, wybierał i pachołkowi swojemu oddawał. Potém panowie, jak stali, w swoich świetnych strojach dosiedli rumaków, i gdy pan Kaźmiérz wybiegł, już pito strzemiennego.

Wszystko wyglądało godowo.

Dziedziniec był zatłoczony wieśniakami, którzy porzucili tańce i wieczerzę, aby się przyjrzéć niespodzianemu odjazdowi Pana Młodego. Ogrodzenie, brama, droga do kościoła, wszystko płonęło od beczek i kagańców. Ka-

pela wyszła na ganek. Wyjechała tam i starościna, za nią wysypał się cały orszak weselny, z białą Krysią w pośrodku.

Pan rotmistrz wyszedł ostatni, lecz, zanim nogę włożył w strzemię, wrócił się raz jeszcze na schody, porwał żonę w objęcia i, głośno ją wycałowawszy, zawołał:

— Nie zapomnij-że mnie, moja panno.

Krysia nie broniła się tym razem, oddała mężowi uściśnienie i odparła śmiało:

— Będę na pana mego czekała w strapieniu, jakoby wdowa, i da Bóg rychło go pozdrowię w radości, jako wierna sługa.

Wielkie okrzyki potwierdziły to małżeńskie pożegnanie, kapela huknęła, dano jeszcze salwę z moździerzy, i wśród téj wrzawy świątecznéj ruszyło małe wojsko, przodem panowie, za nimi szereg hajduków, kozaczków i przeróżnych pachołków, niby obozowych ciurów.

Długo jeszcze, wśród różowéj łuny, można było widzieć, jak zdaleka czapkami się kłaniali. Z dziedzińca odpowiadano im chórem życzeń i wiewaniem chustek, ale gdy znikli na skręcie pod gajem, zrobiło się między gośćmi zamieszanie.

— Pani starościna omglała!

— Nie dziw, od emocyi.

— Wody! Larendogry!

Podane różne flasze, a Krysia, na której ramieniu zwisła głowa zemdlonéj, cuciła dobrodziejkę, to kordyałem, to serdeczném słowem:

— Nie troskajcie się, pani matko! Patrzcie jeno, w jakiéj oni jubilacyi odjeżdżają. To szczęśliwy prognostyk. Dalibóg szczęśliwy.

Starościna odemknęła powieki, spojrzała na Krysię.

— Kochane dziecko! — szepnęła. Potem, składając ręce, wpatrzyła się w gwiaździste niebo i wielkim głosem zawołała:

— Pani matko moja najmilsza! Za twoje rarytne cnoty, za twoją śmierć i palmę, wyniesioną z pogańskich mąk, wyproś-że to w niebie, ażeby twoje ostatnie życzenie na ziemi teraz w całkości się spełniło!

V.

Wtóre wesele.

— O! I znowu się gapią. I to nawet jakoweś mościpany. A wżdy i tych trza przepędzić.

Tak mruczał Kuba Grubasek, spostrzegłszy kupkę ludzi, zgromadzonych przed Bursztynowym Domem. Byli to widocznie przyjezdni, jacyś panicze polscy, dorodni, pełni buty i, pomimo przedpołudniowej pory, odświętnie przystrojeni. Niebieskie i czerwone ich wyloty migały w powietrzu, jakby proporczyki, bo rękami podniesionemi pokazywali sobie w górze okrągłe okienko i powtarzali z wykrzykami podziwu:

— Jakoż to? Oném oczkiem? Nie może być.

— A wszelako było.

— Istne mirabilium!

Grubasek, onieśmielony wspaniałością przechodniów, przystąpił pokornie i, kłaniając się, mówił:

— Mości panowie! Śmiem upraszać, aby każden szedł jako chce... jeno aby tu nie stoić...

— A to znów co za exorbitancye? Co ty, Kuba, mnie myślisz rozkazować?

Słowa te, wyrzeczone gromkim głosem, wyszły z samego środka gromady, i przed oczyma Kuby ukazał się ani mniéj ani więcéj, tylko sam pan burmistrz Freimuth.

— O Jezu! A skąd ja mógł wiedzieć, że i pan burgemeister tutaj? Wybacz Wasza Dostojność, przepraszam uniżenie, aleć ja muszę tu ład czynić, bo pan Schultz okrutnie poryża na to, że mu przed oknami zawdy kupa ludzi przystawa, i wydziwia nad oném utrapioném okienkiem. Już mu — powieda — kamienica obrzydła. Owóż kazał mi politycznie one kupy rozpędzać. Ja tedy dziesięć razy na dzień tędy chadzam, a zawdy kogo zdybię, i mam z tego sto nieprzyjemnościów, bo abo zdybani mię obiją, abo pan Schultz mię wygrzmoci. Rób, co chcesz, zawdy biéda.

— Nie boj-sa, Grubasek — odparł ze śmiéchem burmistrz. — Już dziś ja sam się z panem Schultzem rozprawię.

Tu jeden ze stojących, piękny młodzieniec o błękitnych oczach i złocistym wąsie, zapytał:

— I wy, mój człeczku, sami widzieli, jak ona panienka tamtędy wyleciała?

— Ja sam nie widział, jenom od téj liny mało żywota nie postradał, a com widział, to jako pan Schultz tę panienkę z powrotem tu wnosił, to mglała i krzyczała, jakoby ta biédna waryatka, za to, co jéj zabili onego kawalira, co my po nim tak okrutnie płakali.

— A! Płakali wy po nim?

— Och, i jak! Boć to był takowy siarczysty kawalir, że do dziś, co jest w Gdańsku pannów, to wszystkie po nim łzy lejom.

— No, a z tamtą panienką co się potém działo?

— Tego ja nie wiem, bo już od onego dnia pan Schultz ją trzyma w karceresie, że jéj ludzkie oko nie widziało.

— A to chyba ten jéj kawaler gotów zmartwychwstać, aby ją z takowéj oppressyi wydobyć.

— A dyć zmartwychwstanie on, jeno za późno, bo aż na Sądny dzień.

— A może i wcześniej? Taki siarczysty kawaler gotów i w to utrafić.

— E! Co téż to Wasza Dostojność gada? Chybaby go jakowy Święty wskrzesił, a skąd tu wziąć Świętego, jeszcze w takowém mieście, gdzie tyle plugastwa heretyckiego?

Kuba mówił to najspokojniéj, ale nagle... oczy jego w słup stanęły, usta pozostały otwarte, i głęboki wykrzyk z nich się wydarł. W téj chwili bowiem złotowłosy młodzieniec na bok nieco ustąpił, i poza nim ukazała się postać JMci pana Kaźmiérza Koryckiego.

Grubasek uległ tak wielkiemu wzruszeniu, że, chwyciwszy za poręcz jednego z blizkich ganków, przysiadł na kamiennéj kuli, cały drżący, jakby zimnica nim trzęsła.

— A widzisz? — zawołał jeden ze stojących, kiwając mu palcem przed oczyma. — Widzisz, jakowy to affekt u tego kawalera, kiedy nawet z pod ziemi wrócił, ażeby salwować swoją pannę.

— A juści — szeptał Grubasek. — Dyć on! Jak

Boga kocham, zmartwychwstały! I nawet nie znać, jako w ziemi leżał. Jeno kruszynę przybledniejszy.

Podczas gdy Kuba dziwił się, jakim sposobem ten zabity wyszedł z trumny taki zdrów i strojny, młodzi ludzie, wziąwszy między siebie nieboszczyka, z wielkimi śmiéchami przeszli na drugą stronę ulicy, wstąpili na ganek Bursztynowego Domu, i już jeden z nich bił kołatką, a jeszcze pan Burmistrz powtarzał błękitnookiemu:

— Jeno supplikuję, abyś Waszmość mitygował rankory, bo jabym rad wszystko spacyfikować. Nasz herr Schultz nie taki bies, jak go malują. Polityką z nim wszystko nadrobi.

— A no, obaczym, co dziad powié. I jaby rad pacifice zakończyć, jeno wżdy niech nam się Niemiec okuniem nie stawi, bo juści krew nie woda.

W téj chwili Mina, odsunąwszy rygiel, wychyliła swoją twarz, wiecznie spłoszoną. Ale widok pana Freimutha ją rozjaśnił.

— O Jezu! Pan burgemeister! Jakoż my to dawno gościa tak wielkiego nie widali! A toż meister będzie kontenty!

— A gdzie meister?

— Jak zawdy, na pierwszym treppie, dłubie wedle swoich kamyczków.

Ale w téj chwili, spostrzegłszy gromadę mężów, tłoczącą się do progu, spojrzała z trwogą na burmistrza.

— A to co za herry? Czy wedle bursztynów?



Mina, odsunąwszy rygiel, wychyliła swoją twarz, wiecznie spłoszoną.

— Puszczajcie ich, matko, śmiało, to piękna kompania, której spieszy się do pana rajcy.

Mówiąc tak, burmistrz szedł ku schodom, ale nagle stanął w pół sieni, zdumiony zaszłemi w niej zmianami.

Ze ścian zwieszały się na wpół poprzyczepiane kobierce i zapony, które uwijający się po drabinach robotnicy rozmierzali i przybijali. Wszędzie leżało pełno pak, zawiniątek, a zwłaszcza grubych wieńców z gałęzi sosnowych i modrzewiowych; niektóre już były rozpięte na zaponach; inne wplatano w poręcze schodów, tak, że woń choiny wszędzie się rozchodziła.

— Co toza preparacye? — spytał burmistrz.

— A no co? Na jutrzejsze wesele. Dziś jeno zieleń wieszamy, ale jutro to będzie i kwiatów huk.

— Jakie wesele?

Na to zapytanie, Mina się zatroskała.

— Jakoż to, Wasza Dostojność nie wie? A ja myślałam, że to właśnie z onéj racyi pan burgemeister nawiedza naszego Pana Młodego.

— Jakowyż to Pan Młody?

— A jakowyż ma być? Wszakci to nasz pan meister się żeni.

Na te słowa, między zgromadzonymi powstały groźne szmery, szczękanie szablami, przyczém krzyżowało się mnóstwo pytań:

— Co? Co? Jutro? Żeni się? Schultz? I z kim? Czy z nią?

— A no, pewnie z frajleiną Hedvich.

— Z nią? Sam ci to gadał?

— Nie, proszę Waszmościów — mówiła jąkając się przestraszona kobieta. — Pan meister nie mówił z kim,

jeno mi powiedział temu onegdaj: „Słuchaj Mina, pojutrze się żenię, przyjdą tu robotniki, co ustroją dom, zamów jeszcze dwie mädchen do kuchni, bo musi być wielki lustyk“. Z kimżeby jenszym się miał żenić? Chyba że ja nie wiem... Aleć meister już dawno upatrzył sobie naszą frajlein.

— A panna Hedwiga co na to mówi? — zapytał złotowąsy młodzieniec. — Czy chce takiego starego dziada? Czy już nie płacze po tamtym kawalerze, co to ją wykradał?

— Płacze-ci ona i precz się zarzeka: „Nie!“ i „Nie!“ Aleć to jeno dziecinne gadanie, boć kiedy tamten nieżyw, to i co jéj po nim? I dlatego, że jéj kawalera zabili, to już ma na cały żywot ostać się bez męża? I jeszcze kiedy taki personat i bogacz, jak nasz pan meister, chce jej uczynić ten onor? Namówim ją, namówim, — a nie, to na rękach zaniesiem do kościoła.

— No, no, babo nie pleć, jeno pokazuj drogę! — krzyknął błękitnooki, a obejrzawszy się na drugich, dodał:

— Jako widzę, w sam czas my tu zjachali. Żeby tak jutro, toby tu była tragedya.

Mina, znów przestraszona brzękiem szabel i groźnemi spojrzeniami, nic już nie odpowiedziała, tylko biegła przodem po krętych schodach, gdzie nogi jéj się plątały w niedoplecionych wieńcach. Stanąwszy na pierwszém piętrze, rozwarła drzwi, przez które kolejno zaczęli wchodzić nowoprzybyli, najprzód burmistrz, potém błękitnooki, potém siedmiu młodzieńców, jeden od drugiego świetniejszy i dorodniejszy, nakoniec... zjawił się gość ostatni, który, dotąd trzymając się za drugimi, po-

zostawał niewidzialnym dla Miny. Teraz, na jego widok, zmartwiała. Plecami przytłoczyła się do ściany, sama blada jak ściana, i szepnęła:

— Co to? Upiór? W biały dzień? Panie Jezusie, zmiłuj się nad nami!

Pan Kaźmiérz, posłyszawszy te słowa, tknięty młodzieńczą pustotą, zwrócił się nieco ku Minie, kłapnął zębami, jak zwykły czynić upiory, i zcicha jęknął, niby mara.

Poczém, wsunąwszy się do komnaty, stanął nietylko za plecami drugich, ale i za wystérkającym piecem, tak, że pan majster nie mógł go wcale widziéć.

Za to nieszczęsna kobiecina widziała go ciągle i, nie spuszczając zeń przerażonych oczu, stała, jak żona Lota, z głową pół obróconą, w słup zastygła.

Pan Johann Schultz siedział, jak zawsze, przy swoim robotnym stole, pomiędzy mnóstwem drobnych naczyń i misternych narzędzi. Ale na ten raz narzędzia leżały bezczynnie. Pan majster miał rozłożony przed sobą swój cudowny sztuciec i z rozlubowaniem, właściwém człowiekowi, co jutro ma być „Panem Młodym", wpatrywał się w zachwycający posążek Wenery.

Widok tylu wchodzących zdziwił go i zaniepokoił, a najwięcej go zdumiało przybycie burmistrza, który po zabiciu Kaźmiérza mocno się z panem Schultzem przemówił, wyrzucał mu narażenie Urzędu gdańskiego na niełaskę królewską, przepowiadał mu zemstę całéj Wodnéj Armaty, łajał go za twarde obejście się z Hedwigą

i od owéj rozprawy już nogą nie postał w Bursztynowym Domu.

Teraz pan majster, widząc go w towarzystwie samych ludzi młodych i wojennych, pomyślał sobie:

— Oho! Jest owa wróżona zemsta. Cała Wodna Armata na kark mi się zwali. Zła sprawa, i to jeszcze w sam przeddzień Hymenu!

Nie pokazał jednak żadnego zmieszania, wstał powoli z patrycyuszowską wspaniałością i, rękę o stół oparłszy, czekał na wybuchnięcie burzy.

Tymczasem, zamiast burzy, czekało go zupełnie co innego.

Pan Freimuth, słodko uśmiéchnięty, szedł ku niemu z otwartemi objęciami, jedną ręką dłoń jego ścisnął, a drugą klepał go po ramieniu i mówił:

— Kochany rajcusiu! Stary amikusie! Przynoszę ci złote nowiny! Ale to szczerozłote!

— Co takiego? — pytał jeszcze nierozchmurzony majster.

Pan burmistrz, pokazując młodzieńca o błękitnych oczach, rzekł z niejaką dumą:

— A najprzód, oto jest JMci pan staroście Władysław Nałęcz, rotmistrz chorągwi pancernéj, brat panny Hedwigi.

— Co? Znowu brat? — zapytał pan Schultz z przekąsem.

— A tak, znowu brat. Ale na ten raz veritabilis, najweritabilszy. Dziś rano pan staroście razem z tymi oto swoimi świadkami stawił się u nas w Urzędzie i wylegitymował dokumentnie prowenencyę panny Hedwigi.

— Aha! I gdzież ten dokument? — zapytał drwiąco majster.

— Oto jest — odparł pan Władysław, pokazując szkaplérz i wyjmując z niego zżółkłą kartkę. — To babki naszéj pisanie, propria manu. I szkaplirz pani matka poznała, i szatki niebieskie ze złotemi forbotkami sama ona dla dziecięcia szyła. Tandem, jest plenitudo argumentów.

Pan majster nagle spoważniał. Przeczytał kartkę raz i drugi, zamyślił się i mówił:

— A! To ciekawe. I bez tyle czasu my mieli ten papier i nic nie wiedzieli! Ale cobym ja chciał wiedzieć, to kiedy to Hedwiga ten szkaplirz otworzyła?

— To nie ona otworzyła, jeno wy, panie rajco, wy sami otworzyli.

— Exkuzuj Wasza Miłość, ale ja się pytam na seryo.

— A i ja gadam na seryo. Było to w pewnéj cyrkumstancyi, któréj tu wolę nie cytować.

— Tak, tak — poparł ze śmiéchem burmistrz. — Pomnij, panie Johann, kiedyś to oną panienkę gonił, i komuś ją z rąk wydzierał, toś aż na niéj porozrywał krézę, no, a razem z krézą i szkaplirz się rozerwał, i tak jéj sprowadziłeś to wielkie szczęście. Widno, że czy chcesz czy nie chcesz, zawdy jesteś jéj benefaktorem.

— Tak jest — ozwał się uroczyście pan Władysław.— Z téj też racyi nie usłyszysz Waszeć ode mnie innych słów, oprócz gratulacyi. Byłoby może niejedno do rekryminowania, byłoby... no... Bóg widzi, jakobym ja tu mógł niejeden kamień rzucić na Waszciną głowę, boć teraz już jam z prawa jest protektor mojéj rodzonéj, ale

na tę pamiątkę, żeś Waszeć ją salwował od pogan i w domu swoim żywił, wolę rekryminacye zagrzebać w silentium i jeno flores gratitudinis złożyć Waszeci, tak od siebie jak od całej naszej familii, przednio zaś od naszéj pani matki. Poczém śmiem się dopraszać téj łaski, abym nakoniec mógł przywitać moją pannę siostrę.

— Wszystko to dobrze — odparł ciągle zamyślony majster — jeno bym ja rad wiedział, jakowym to sposobem Hedvich zwąchała się z tą swoją nową familią? Gdzie znalazła takowego mądrego ambasadora, co wszystko to zweryfikował? Boć ona i na krok nie wyszła z domu, a przecie duchy niebieskie jéj nie usługowały?

— A właśnie, że duch jéj usłużył — ozwał się jeden z młodzieńców. — Duch umarłego. On człek, coś go Waszeć zabił, ten z Boskiego wyroku stał się jéj mścicielem.

Tu młodzieńcy rozsunęli się z brzękiem szabel, i sam IMci pan Kaźmiérz Korycki stanął przed panem rajcą.

Spojrzeli sobie oko w oko.

Nastała chwila ciężkiego milczenia.

Wszyscy przypatrywali się majstrowi z ciekawością, ale twarz pana Schultza nie okazała owego przestrachu ani przygnębienia, jakich się po nim spodziewano. Po chwili tylko szyderczo się uśmiéchnął i rzekł:

— Aha! To on tak był zabit? No, teraz rozumiem...

Tu burmistrz położył mu obie ręce na ramionach i mówił z rodzajem rozczulenia:

— A co? To druga złota nowina, jaką ci przynoszę. Ciesz-że się, majsterku. Już krew zabitego nie będzie cię

po rękach piekła. Już sumnienie po nocach nie będzie cię dezolowało.

— Ależ — odparł majster, wydzierając się dość szorstko z uścisku — mnie sumnienie w żaden manier nie dezolowało. Za co? Jam tego kawalera nigdy nie zabijał, jenom odbierał, co kradzione, a że się doigral guza, to ja temu nie krzyw, sam go szukał. Ale Waszeć, panie burgemeister, po coś mię to tak szpetnie oszukiwał, straszyl kaźnią i pomstą, acz wiedziałeś, że to udanie?

— Ja? Wiedziałem? Jak mi Bóg miły, nie wiedziałem. I nikt nie wiedział. Księża go tam w Oliwie schowali, a oliwą precz smarowali, aż się wylizał. Ale to była siurpryza. Jam się dopiero dzisia, przed godziną dowiedział, i nie mogę nachwalić się Pana Boga, boć za taki mordunek toby my wszyscy mogli dostać pokutę.

Na to pan majster odrzekl z jakimś dziwnym uśmiechem:

— A no, to i ja powiem: Chwalić Boga, że kawaler się wylizał, témci bardziéj, że teraz już on mi nie zawadza.

Słowa te zadziwiły obecnych. Wszyscy po sobie spojrzeli pytająco. Pan Kaźmiérz zaś, hamując wzruszenie, co mu na twarz wybuchało krwawymi rumieńcami, odrzekł z widoczném wysileniem:

— Słusznéj inwidyi mógłbym ja popuścić cugle, i byłoby to może dla mnie miłe, ale wolę brać model z pana starościca i zmilczéć moje rekryminacye, przynajmniéj do czasu, aż obaczę, co Waszeć zamyślasz daléj czynić.

Stojąca ciągle we drzwiach Mina złożyła ręce i szepnęła:

— On gada! W biały dzień?

Gdy pan majster nic nie odpowiedział Kaźmiérzowi, rotmistrz zapytał z niejaką już niecierpliwością:

— Śmiem upraszać po raz wtóry: pokaż mi Waszeć moją pannę siostrę i pozwól, abym co żywo zawiózł ją do naszéj pani matki, która tam usycha z tęskności.

Pan Schultz i teraz jeszcze nic nie odpowiadał. Stał nieruchomy, ze zmarszczonemi brwiami, czasem usta nieco roztworzył, poczém znów je zaciskał coraz twardziéj. Czy odbywała się w nim jaka walka? Czy tylko na złość tak przetrzymywał ciekawość słuchaczy? Trudno to było zgadnąć. Nakoniec podniósł oczy, spojrzał po wszystkich drwiąco i mówił, cedząc słowa:

— A i owszem. Panna starościanka pojedzie do mutterki; jeno wprzódy upraszam Waszmościów, abyście jutro wszyscy raczyli assystować na mojém weselu.

Po tych słowach zrobił się w komnacie szmer złowróżebny. Pan Władysław chwycił za rękojeść szabli, przystąpił gwałtownie do rajcy i zapytał głosem, w którym drgało źle przytłumione oburzenie:

— Więc to prawda? Waszeć się żenisz? I z kim, jeśli wolno wiedziéć?

Pan majster wcale się nie zmieszał.

— Z kim? Zara się to pokaże. Ja moją przyszłą żonkę sam Waszmościom zaprezentuję. Czy tu jest Mina? Co ty tam tak stoisz, jak ten słup do podpierania drzwiów? Chodź-no tu.

Mina, cała drżąca, weszła do komnaty i, palcem wskazując na pana Kaźmiérza, zapytała półgłosem:

— Herr meister, co to jest?

— Jakto, co? Czyż nie widzisz? To IMci pan Korycki, stara znajomość.

— On? Wszakci on był zabit? Czy to upiór?

Na te słowa, mimo poważnego nastroju, powstały w komnacie wielkie śmiechy. Sam pan majster uśmiechnął się i odrzekł:

— Nie upiór, jeno niedobitek. No, nie rozdziawiaj próżno gęby, jeno ruszaj duchem na drugi trepp i proś, aby przyszły tu obiedwie, i frau i frajlein.

Mina znów osłupiała z podziwienia:

— Proszę majstra, tedy frajleinie już wolno wyjść z izby?

— Co tu gadać? Powiedz jéj, że ja każę, aby tu przyszła. I frau także.

Mina rozradowana pobiegła na górę.

Ale pomiędzy młodymi ludźmi coraz niespokojniesze krążyły pytania:

— Co to będzie?

— Ej! Źle się skończy.

Po chwili jeden z nich, czupurny pan Dederko, przystąpił do majstra i zagaił:

— Panie... tego... Pomnij Waszeć, że my wszyscy, jak nas tu widzisz, zjachali nietylko dla dawania naszego testimonium panu starościcowi, ale i dla bronienia panny starościanki od wszelakiéj krzywdy.

— A jakaż jéj krzywda?

— Ha! Pono Waszeć ją dusisz w karceresie?

— Pokażę ja Waszmościom komnatę, gdzie ja pono duszę tę frajlein, i sami powiécie, czy wszelaka kró-

lewna nie chciałaby do śmierci siedzieć w takowym karceresie. To najpiękniejsza komnata z całéj mojéj kamienicy.

Wypowiedziawszy to z górnym uśmiéchem, odwrócił się do stołu, z którego zaczął zbierać sztućcowe figurki.

Ale jego spokój nie udzielał się zgromadzonym. W komnacie coraz mocniéj wrzało.

— Ponoć to nie zawdy tak było...

— Siedziała-ci ona i w ciupie pod dachem...

— O chlebie i wodzie...

Już się zaczynało trzaskanie szablami, już zaniepokojony burmistrz łamał sobie głowę nad nowym sposobem zażegnania burzy, gdy nagle sposób sam się znalazł.

W komnacie przycichło, jakby makiem zasiał.

Wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom.

Na progu stały dwie kobiety, prześliczne jakby dwa kwiaty.

— Która to? Która? — pytano półgłosem.

— Czy ta różowa?

— Ale gdzież znowu! To tamta, ze złotą główką.

— A juści, bo też i do pana rotmistrza kubek w kubek podobna.

— A! Trza przyznać, jako stary umié dobierać gładkie buzie.

Hedwiga musiała już wiedzieć przez Minę o przybyciu pana Kaźmiérza, bo żaden krzyk podziwu nie wydarł się z jéj piersi. Tylko była niezmiernie blada i w po-

chodzie słaniała się na ramieniu pani Flory, która przeciwnie kwitła tryskającymi rumieńcami.

Kto wié nawet, czy jaka tajemna poczta nie powiadomiła już tych pań od rana o mających się zjawić gościach, obiedwie bowiem były co się zowie świątecznie ubrane, jedna różowo, druga, jak zawsze, niebiesko; przy szyi obie miały przejrzyste krézy, we włosach bramki ze wstążek, przepięte kwiatami; u jednéj pęk róż gorących, u drugiéj białe stokrotki.

Pan Schultz, nie patrząc wcale na Hedwigę, wziął panią Florę pod rękę i wyprowadził ją na środek pokoju, poczém uroczyście przemówił:

— Oto zacna dama, która przez mizerykordyę nade mną sakryfikowała się na złe języki. Figurujcie sobie Waszmoście, sprowadziła się do mego domu, niby dla strzeżenia frajleiny, a w rzeczy dla konsolowania mnie biédnego, com już nie miał przy sobie żadnéj życzliwéj duszy. Owóż jam wonczas dopiero wyrozumiał, gdzie jest dla mnie prawdziwa szczęśliwość. Powiedam Waszmościom, nie można przeżyć kilku niedziel obok tak szacownéj białogłowy bez umiłowania jéj przyjaźnią dozgonną, i żeby teraz ofiarowano mi wszelkie niewiasty świata na wybranie, żebyś nawet, panie rotmistrzu, częstował mię panną starościanką, jabym powiedział: rekuzuję wszystkie, jeno proszę o śliczną rączkę przezacnéj pani Flory Korwiczkowéj.

Pani Flora, za całą odpowiedź, uśmiéchnęła się czarownie i swoją pierścienistą rączkę podała panu rajcy, który ją ucałował płomieniście, a potém potoczył po zgromadzeniu tryumfującym wzrokiem.

Tryumf jego był istotnie wspaniały. Sam zrekuzo-

wał Hedwigę, a ta rekuza tak dobrze wszystkim wypadała na rękę, że obecni, zamiast okazania obrazy, rzucili się owszem ku niemu z głośnemi powinszowaniami.

Nikt się też nigdy nie dowiedział, czy pan Schultz istotnie już od kilku niedziel myślał o zaślubieniu pani Flory, czy dziś dopiero ukuł ten zamiar na prędce, dla wydobycia się z ciężkiego położenia. Jedna może pani Flora wiedziała, co ma sądzić o téj sprawie, ale nikomu się ze swych myśli nie zwierzyła, bo przekonania mądréj wdowy, jak przystało bogini kwiatów, spoczywały zawsze „sub rosa“.

Teraz, otoczona przez młodzieńców, zachwyconych jéj powabnością, rozdawała wszystkim urocze uśmiéchy, a pan Schultz tymczasem przyprowadzał pana Władysława przed Hedwigę i mówił:

— Patrz, Hedvich, oto twój brat, nie żaden kłamany, ale na ten raz pono prawdziwy. Uściskajcie się jak należy. Ale ty, jako widzę, zérkasz jeszcze gdzieindziéj. No cóż? Nie dziwowasz się, że tamten żyw? Oho! Dobrześ ty o tém wiedziała! No, ale o tém niech już będzie keine gadanie. A teraz — dodał, znowu głos podnosząc uroczyście — pozwólcie Mościwi panowie, abym po raz ostatni użył moich praw ojcowskich i wyznaczył męża dla frajleiny. Nie wiem, czy Waszmość, panie starościcu, przystaniesz na mój dekret, ale ja swoje powiem, a wy potém róbcie sobie, co chcecie.

Tu w oczach pana majstra przeleciała błyskawica gniewu, a na ustach przesunęło się rozgoryczenie. Ale szybko zapanował nad sobą i, znów przybrawszy wyraz

drwiący, mówił głosem niby wesołym, a naprawdę szyderczym:

— Owóż, poznawszy przy sercu pani Flory, jaką szczęśliwość daje fortunny affekt, nie chcę ja już i cudzym affektom kontrować. Niechże tedy IMci pan Korycki bierze sobie tę pannę, kiedy dla niéj mało karku nie nadkręcił i mało żywota nie postradał.

Tu spojrzał na Hedwigę, a gdy ta stala zmieszana, ze spuszczonemi oczyma, w których łzy się kręciły, ujął jéj ramię i zawołał:

— Na! Idźże sobie do twego gagatka!

I pchnął ją, niby żartem, ale tak mocno, że zatoczyła się i upadla na pierś pana Kaźmiérza. Ten otworzył objęcia, przytulił ją do łona i wyszepnął:

— Ach, moje ty szczęście!...

Wyrok pana Schultza został objawiony trochę po grubiańsku, ale tak był dla wszystkich pożądany, że obecni znowu powstrzymali się od wszelkich oznak niecierpliwości. Pan Władysław nawet ukłonił się i mówił:

— Waszeć jeno potwierdzasz naszą własną decyzyę. Pani matka bowiem i ja, od pierwszego momentu, obiecaliśmy pannę starościankę w małżeństwo IMci panu Kaźmiérzowi Koryckiemu. Wżdy milo nam widzieć, że i dawny jéj protektor tegoż jest samego, co i my, sentymentu.

Przebudzona słowami brata, Hedwiga nagle przemogła wzruszenie. Ciągnąc za sobą Kaźmiérza, stanęła przed panem rajcą, pokłoniła mu się do kolan, wyrzekła ze łzami:

— Dziękuję dobrodziejowi... dziękuję...

Chciała więcej powiedzieć, ale łkanie tamowało jéj mowę. Zwróciła na Kaźmiérza wzrok błagalny; ten zrozumiał, czego jéj serce po nim żąda i, choć nie bez wysilenia jednak pokłonił się i wyrzekł:

— Ja także dziękuję za Waszeciny assentyment. Szkoda jeno, że nie przyszedł trocha wcześniéj.

— A właśnie, że nie szkoda — odparł zawsze drwinkowatym głosem pan majster. — Gdybyś Waszmość był zaraz posiadał mój konsens, nie byłby się szkaplirz rozerwał, i Hedvich nie byłaby starościanką.

I toć prawda. Panna Hedwiga nie byłaby odszukała swojéj familii, a i ja nie byłbym odszukał mojéj siostry. Bo trzeba wiedzieć Waszeci, że w téj całéj cudownéj miszkulancyi odnalazła się i nasza Krysia.

Tu pan rotmistrz oraz jego towarzysze wmieszali swoje głosy do rozmowy i zaczęli na wyścigi opowiadać, jako to pan Kaźmiérz stanął w Dobrowoli właśnie podczas wesela pana starościca, przyczém się pokazało, że małżonka tegoż jest właśnie ową zatraconą Krysią. Hedwiga, słuchając tych wiadomości, składała ręce w zachwycie, a pan rajca od wielkiego zdumienia zapomniał nawet o szyderstwie i z dobrodusznym uśmiéchem powtarzał:

— Herr Gott! A to jakbyś słuchał niańczynego bajania. No... tylko w tym kraju podobne rzeczy mogą się porobić.

Gdy tak w najlepsze rozprawiano, wszedł do komnaty Kornelius, nie domyślający się wcale, jak ważne wypadki w niéj zachodzą. Zdziwił się tylko trochę, że pan Schultz ma naraz tylu i tak świetnych „kundmanów". Przystąpił więc na palcach i szepnął:

— Herr meister, ten Melchior, co to rozwieszał kobierce, nasmarował taki rachunek, że nie wiem co robić.

Pan majster spojrzał na niego filuternie.

— A rób sobie, co chcesz. Nie myślę ja żałować geldu w taki dzień fortunny, kiedy tu same wesela. Patrz: oto ja się żenię z tą zacną damą, a znowu z frajleiną żeni się ten officyjer nieboszczyk.

Tu wskazał na młodą parę, która była w pół ukryta poza cieniem olbrzymiéj szafy i zaczął po swojemu się uśmiéchać.

Ale Kornelius nie śmiał się bynajmniéj. Na widok pana Kaźmiérza skamieniał, a twarz jego wyrażała tak niezmierną złość i nienawiść, że i pana Schultza odeszła ochota do żartów.

Pan Kaźmiérz spojrzał pogardliwie.

— Czeladniczku mój — rzekł — pamiętaj, coć powiem: nie twoja rzecz wojenne rzemiosło, pilnuj twego fartucha i obcęgów, a nie wdawaj się z rycerskim człekiem, bo choćbyś go jak tradyttor z tyłu zaszedł, to jeszcze go, mizeraku, nie potrafisz zmódz.

Kornelius, pod obelgą tych słów, pozieleniał.

A tymczasem pomiędzy młodzieńcami szerzył się szmer groźny:

— A! To ten Judasz? Ten Ollender heretyk? Dawać go tu, niech go przepłazujem...

Tylko pan Władysław był odmiennego zdania.

— Mości panowie, dajcie pokój. Żeby tak na mieście, to i owszem, — ale tu, w tym domu, wobec białéj płci, nie pozwolę...

Kornelius, czując zbierającą się nad nim burzę, przystąpił do pana rajcy i wyjąkał;

— Herr meister... u nas w Amsterdamie...

— Aha, już wiem, co chcesz powiedzieć. U was w Amsterdamie ludzie, raz zabici, już więcéj nie wstają?

— Nie, herr meister, ja nie to chciałem powiedzieć, jeno to, że w Amsterdamie jest porządnemu człowiekowi lepiéj, niż w tym przeklętym Dantzigu. Głupstwo zrobiłem, żem opuścił moje dobre miasto! Herr meister, dziękuję za służbę, dziś jeszcze wyjadę, i już noga moja u was nie postanie.

Twarz pana Schultza wyraziła szczerze zasmucenie, i z ust jego już wydarły się żałosne słowa:

— O! Korneliusie, nie rób-że mi...

Ale w téj chwili spotkał spojrzenie pani Flory, a spojrzenie musiało być bardzo wymowne, bo nagle zamilkł i zakłopotany spuścił oczy, z czego można było wywnioskować, że trafiła kosa na kamień, i że trzęsący dotąd wszystkiém pan majster odtąd już będzie tylko czeladnikiem u pani majstrowéj.

Kornelius, przez nikogo nie przytrzymywany, rzucił na Hedwigę jadowite spojrzenie, zwiesił głowę i zwolna opuścił komnatę.

Po jego wyjściu wszyscy lżej odetchnęli, jakby po zniknieniu czarnéj chmury, a gdy jeszcze na rozkaz pani Flory (która właściwie już od kilku tygodni rządziła Bursztynowym Domem) podano przednie wina i zakąski, serca się nieco rozjaśniły, i z przyjemnością, nawet prawie z zapałem, wypito zdrowie jutrzejszych nowożeńców.

Nazajutrz istotnie, od rana, pan Schultz poślubił panią Florę, która otrzymała mnóstwo pysznych podarków,

tak od męża jak i od znajomych, a zwłaszcza od swoich dwóch najlepszych przyjaciół, pana Kaźmierza i pana Władysława. Dla dwóch ostatnich był to najlepszy sposób niejakiego wywdzięczenia się panu konzulowi, który z nieprzepartą wyniosłością nie chciał wchodzić w żadne rachunki z panem starościcem, ani sobie dał mówić o kosztach, łożonych na odchowanie Hedwigi.

— Nie, nie, keine gadanie — odpowiadał. — Niechże ja już na zawdy ostanę „dobrodziejem“.

Sam więc nic nie przyjął, ale upominków dla żony nie mógł w żaden sposób odmówić, bo pani Flora przyjęła je skwapliwie, tém skwapliwiéj, że teraz, wchodząc przez męża do patrycyatu miejskiego, mogła już nakoniec nosić i drogie tkaniny i rzeczywiste klejnoty.

W południe odbył się u pana Schultza obiad, na którym Mina wystąpiła z arcydziełami kuchmistrzostwa. Jednak, pomimo darów i przysmaków, między zgromadzonemi ciągle jeszcze panowała niejaka sztywność. Było do niéj kilka powodów; najprzód obecność pastora, zajmującego poczesne miejsce u stołu, mroziła świeżo przybyłych gości, którzy jeszcze nie przywykli da Gdańskiéj mieszaniny wyznań; a przytém w każdéj rozmowie potrącano co chwila o tysiąc szczegółów z przeszłości, przy których ci i owi wzajem się boczyli. Chłodne więc, iście purytańskie, było to wesele.

Dopiero wieczór ostatnie lody stopniały w Artushofie, gdzie, na wniosek burmistrza Freimutha, Gilda Ś-go Krzysztofa wyprawiła ucztę dla państwa rajcowstwa.

Co prawda, z początku pan burmistrz był nieco markotny, że pani Flora oddała innemu tę szacowną rączkę, o którą on, niestety, jako człowiek żonaty, nie mógł

się dobijać. Ale mądra pani Schultzowa kilku słowy czy kilku spojrzeniami umiała go tak udobruchać i rozruszać, że teraz przewodził wieczerzy, promienny jakby sam król Artus, a za jego przykładem rozruszali się i wszyscy inni.

Ba! Nietylko panowie, ale nawet i słudzy.

Maciek tak był uszczęśliwiony pomyślnym zwrotem w losach swego pana, że kogo spotkał, to i ściskał. Nawet gdy spotkał Kubę Grubaska, to i jemu rzucił się na szyję, wycałował go w oba policzki, a chcąc się przed nim pochwalić sutością swego mieszka (który u pani starościny hojnie zaopatrzono), zaprosił go, ni mniéj ni więcéj, tylko Pod Łososia. (Sławny ów zakład istniał już od lat kilkudziesięciu). Tam, przy kubeczkach „Złotéj wody", jak zaczęli wspominać ową noc okienkową, tak się aż popłakali z rozczulenia, i ta lina, co niegdyś była przedmiotem ich walki, obecnie zadzierzgnęła między nimi węzeł nierozerwalnéj przyjaźni.

Wprawdzie i teraz tylko co nie przyszło znów do kłótni, obaj bowiem, wśród poufnych zwierzeń, wyznali sobie, że palą koperczaki do bystrookiéj Fruzi. Ale pogodził ich trzeci towarzysz, pewien ślusarz, wielki bywalec, który im opowiedział pod sekretem, że nie mają się o co czubić, bo Fruzia już jest po zrękowinach z dominikańskim organistą, który będzie mężem przewybornym, jako człek i dostatni i uczony; do południa on wygrywa różne cudne Agnusy i kalikantom wymyśla, po południu chłopięta spędza i uczy śpiewania mizererów, a żona tymczasem doma rządzi sobie, jak się jéj żywnie spodoba. Na taką wiadomość, pogodzeni współzawodnicy znowu się chwycili w objęcia i, trącając kubek o kubek, śpie-

wali piosnkę znaną, którą sobie wszakże przerobili na swoje kopyto:

Pije Maciek do Jakóba,
Spili się, jak łyki.
Wiwat Mazur i Kaszuba!
A furda z podwiki.

VI.

I trzecie wesele.

W kilka tygodni późniéj znów buńczuczna brama Dobrowoli powiewała trofeami ze sztandarów; znowu schody gankowe były wyłożone purpurą, i znów przed ten ganek zajeżdżał orszak weselny, ale tym razem jeszcze sutszy, i liczniejszy, i radośniejszy, niż pierwszy.

Zjechało się nietylko już sąsiedztwo, ale prawie pół Wielkopolski. To téż i pański dom i wszelkie zabudowania dworskie nie wystarczały na pomieszczenie gości; musiano powyporządzać śpichlerze i stodoły, gdzie ci, którzy późniéj stanęli na miejscu, a zwłaszcza wszelka młodzież, mieścili się, jak mogli, co nie trudno przychodziło ludziom przywykłym do trudów obozowych.

A jeśli orszak był liczny, jeszcze liczniejszych miał widzów. Nietylko z dóbr starościny, ale ze dwudziestu wsi dokoła, zleciało się chłopstwo i niezmierna mnogość różnorodnéj gawiedzi.

Bo téż dziwy opowiadano sobie o téj całéj ,,cudownéj

historyi“, a zwłaszcza o dzisiejszéj Pannie Młodéj, któréj nie nazywano inaczéj, tylko „królewną z za morza“.

Jakim sposobem Hedwiga, będąc odnalezioną córką pani starościny, była zarazem i królewną, tego ludzie na pewno nie wiedzieli, ale różnie to sobie tłumaczyli. W jednych wsiach, wieczorami, prządki rozpowiadały, że ją Tatarzy sprzedali królowi szwedzkiemu, a ten ją chciał za córkę przybrać i tron swój zapisać, byle jeno chciała się zlutrzyć. W innych wsiach mówiono, że frajbitterowie duńscy porwali staróściankę na jakowąś wyspę i tam okrzyknęli ją swoją królową, aż rycerz z puckiéj flotty zjawił się i odbił ją tym zbójom.

A wszystkie owe legendy powstały z powodu jednéj wieści, mianowicie, że staróścianka przywiozła pełny ubiór królewski.

Wieść była prawdziwa. Jeszcze w Gdańsku pan Władysław, uwiadomiony przez pana Kaźmiérza o życzeniu siostry, zakupił dla niéj na wyjezdném cały strój ślubny, zrobiony wedle starodawnéj gdańskiéj mody, i wiadomość o tym stroju rozbiegła się przez dziewki dworskie między wiejską ludnością.

Pan Kaźmiérz, słysząc owe baśni, zaprzeczał im tylko półgębkiem, albo zgoła zachowywał fortelne milczenie, a w głębi duszy się cieszył. I jak nie miał doznawać uciechy, kiedy on zawsze kochał się w „poemach“, a te legendy czyniły go bohaterem najśliczniejszéj poemy i cudownym nimbusem otaczały jego umiłowaną?

To téż wiara w one wieści rosła coraz bardziéj, a już co dzisiaj, to z wiary stała się przekonaniem, kiedy oblubienica wystąpiła w ubiorze niezaprzeczenie królewskim. Ściany wiejskiego kościołka mało nie pękły od natłoku,

a teraz, gdy nowożeńcy już wracali, obie strony gościńca i podwórcowe ogrodzenia były oblężone przez tłumy, które, ciskając czapkami w górę, krzyczały z uniesieniem:

— Niech żyje królewna szwedzka!

— Niech żyje królowa duńska!

— Niech żyje nasza królowa!

Hedwiga była tak zmieszana swojém szczęściem, że nie zwracała uwagi na wyrazy, ale czuła w tych wykrzykach uwielbienie i ze spuszczonemi oczyma przytulała się lękliwie do Kaźmiérzowego ramienia.

A cudna była w tym swoim szkarłatnym płaszczu i gronostajowych wyłogach, spiętych perłową klamrą na piękniejszéj od pereł szyi; w tych włosach, jako bursztyn jasnych, rozsypanych po barkach i ramionach; w téj złotéj przezroczystéj koronie i z tymi turkusami w oczach, i z tym dziewiczym rumieńcem wschodzącéj Aurory.

Cudna była istotnie, jakby królewna z bajki, albo — co jeszcze lepiéj — jakby jakieś leciuchne przypomnienie wielkiéj królowéj Jadwigi, wprawdzie w postaci ni takiéj wielkiéj, ni tak świętéj, ale szczęśliwszéj, bo wspartéj na ramieniu tego, którego ukochała.

Pan Kaźmiérz był dziś przybrany, już nie w łosie skóry, ani nawet w „hatłasy“, ale w same takie rzeczy, o jakich dawniéj tylko marzył, a na które teraz — poślubiając bogatą starościankę — mógł sobie śmiało pozwolić. Więc miał krótki pstry żupan z lewantyńskiego kofty-

ru (materyi tak drogiéj, że niegdyś królom w hołdzie ją składano), świécący rzędem rubinowych guzów, a po wierzchu granatową, aksamitną, marmurkami podbitą ferezyę, która pod szyją zahaczała się na brylantowe szpony. U szkarłatnego kołpaka zatknął pióra orle, brunatno-pozłociste, wijące się w bujną forgę, i dla pamiątki przeszpilił je owym zanklem żeglarskim, na którym wyemaliowane świeciło godło bandery królewskiéj.

Więcéj wszakże od piór i od klejnotów zwracała uwagę inna jeszcze ozdoba kołpaka, wprawdzie skromna, lecz zastanawiająca oczy, bo nieznana tutejszym ludziom. Były nią dwa małe zieloniuchne wianeczki, zaplecione w siebie, jak ogniwa, i wpięte poniżéj forgi, tuż nad lewą skronią.

Między patrzącymi niektórzy mówili:

— To na turniejach u króla szwedzkiego zdobył one wieńce.

A drudzy przeczyli:

—Nie. To jest owo ziele, co to „szczęście niesie“. Ono rośnie gdzieś za morzami. Tam go sobie narwał, i téż wszystko mu się udało. Oj, żeby to tak choć jeden listek dostać z onych wianków!

Inne głosy po drodze go witały słowami:

— Niech żyje morski rycerz!

— Niech żyje ten, co zbawił królewnę!

Ale gdy orszak wtargnął na dziedziniec, wszystkie te okrzyki ustały, a na ich miejsce wybuchnął inny, jednogłośny:

— Niech żyje pani starościna! Święta nasza pani!

Pani starościna znów siedziała na ganku, zawsze nieruchoma, zawsze ze swojém białém futrem u kolan, ale z odmłodniałą i wypiękniałą twarzą, po któréj toczyły się ciche łzy szczęścia podczas gdy drżące od wzruszenia jéj ręce brały złocistą tacę z bochenkiem i solą.

A brały ją dziś już nie od rękodajnego, ale od JMci pana miecznika Koryckiego, który, pomimo swojéj groźnéj, wiarusowatéj twarzy, także musiał co chwila połykać łzy ciepłe, kapiące mu na srebrne wąsy, przyczém niekiedy powtarzał półgłosem:

— A niechże ich Turek zjé!

Pierwszy on wyrwał się z kościoła i wyprzedził orszak nowożeńców, żeby jak najprędzéj stanąć z rycerską służbą przy „adorowanéj pani-matce“, zbawczyni i wychowawczyni jego cudnéj Krysi.

. . . .

I nietylko dzisiaj, ale już do końca życia służył swéj pani po rycersku. Gdy się bowiem skończyły uroczystości weselne (co — mówiąc nawiasem — nieprędko nastąpiło, bo przy święceniu podwójnych oczepin przez całe dwa tygodnie dwór był pełen kwiatów i wiwatów, pląsania młodzieży i strzelania z moździerzy), gdy nakoniec goście się porozjeżdżali i pozostały tylko dwie rodziny, a raczéj dwa szczątki rodzin, jakby cudem ocalałe i złączone, wtedy zaczęto rozmyślać nad sposobem urządzenia sobie przyszłości.

Namysł był krótki. Pani starościna od razu oświad-

czyła, że nigdy na to nie pozwoli, aby jéj Marychna-Jadwichna, ledwie co po tylu latach odzyskana, miała ją znów opuszczać i za mężem iść gdzieś aż pod Karpaty. O wyjeździe Krysi tak samo nie mogła nawet myśléć. Postanowiła więc, że obie młode pary z nią razem zamieszkają, a nie chcąc pana miecznika rozłączać z synem ani z córką, prosiła go, aby także się tutaj przesiedlił i wszystkim najłaskawiéj ojcował.

Pan miecznik, podrożywszy się, ile przystało, z wewnętrzną radością przyjął zaprosiny, wydzierżawił swoją wioszczynę, a sam został na zawsze w Dobrowoli, którą przezwał swoją „Dobrą dolą".

Tu istotnie starcowi zgrzybiałemu od nieszczęść i samotności zachód życia pięknie się rozpromienił. Wprawdzie nic mu już nie mogło przywrócić ani małżonki, śpiącej na cmentarzyku czarnorudzkim, ani dwóch synów, śpiących pod kopcami dalekich pobojowisk. Ależ Krysia, ta Krysia opłakana, szukana, ukochana, odnalazła mu się, i jaka! Piękna, bogata, szczęśliwa, poczciwa. I syn oto, postanowiony tak świetnie, jak się ojczulkowi wcale nie marzyło. I, prawdę mówiąc, miał już nie jedną córkę, lecz dwie córki, nie jednego syna, lecz dwóch synów, a wszystko to kochało go i służyło mu na wyścigi tak, jak lubił, z „moresem" i wesołością.

Pani starościnie także nic już nie mogło przywrócić ni srodze zamordowanéj matki, ni przedwcześnie zmarłego męża, ni straconego bez ratunku zdrowia. Ale Bóg przywrócił jéj Maryśkę, czy Jadwiśkę (bo i tak i tak ją nazywano) i tą jedną gwiazdą rozjaśnił cały wieczór jéj żywota.

Już to trzeba przyznać, że owe przedweselne tygodnie oczekiwania na córkę były dla pani starościny strasznymi. Nietylko bowiem pożerala ją niecierpliwość macierzyńskiego serca, połączona z niepokojem o skutek wyprawy, ale trapiły ją i różne inne postrachy. Bała się mianowicie (i z Krysią często dzielila tę obawę), czy Władek jéj nie przywiezie jakiéj sztywnéj, pospolitéj mieszczki, o pojęciach i nawyknieniach, nie licujących z ich starodawném życiem. Lękała się jeszcze bardziéj, czy nie przywiezie jakiejś pół-Niemkini.

Pierwsze spojrzenie na rozkoszną buzię panienki, pierwsze jéj padnięcie do nóg matce, pierwsze jéj rzucenie się na szyję Krysi, rozwialo wszystkie te obawy.

Hedwiga wprawdzie zachowala niektóre przyzwyczajenia z przeszłości, ale tylko same chwalebne. I tak naprzykład, nic nie moglo w niéj zachwiać zamiłowania do porządku; wszystko wkolo niéj, czy to w komnatach, czy w kuchni, musialo zawsze świecić się i bielić, jakby czyste srebro i zloto. Z początku służba dworska mruczala na te wymysly młodéj pani, z czasem jednak przywyknięto i dwór dobrowolski zaslynął w całém sąsiedztwie z niewidzianéj dotąd, iście holenderskiéj schludności.

Pod innymi wszystkimi względami Hedwiga dziwnie szybko zrosła się ze swojém nowém życiem, bo dusza u kobiet bardzo młodych, jeszcze jak wosk miękka, łatwo przyjmuje wszelką pieczęć, zwlaszcza jeśli ta pieczęć jest wyciśnięta przez gorące i silne serca, a takich wkolo naszéj „królewny“ nie braklo.

Umiala téż sercem za serce płacić. Jéj cześć i miłość dla matki przechodziły zwyczajną miarę, jakby chciała tę matkę wykochać za wszystkie lata stracone. Dla

pani Krystyny także miała coś podobnego do czci, jako dla swojéj odkupicielki przed Bogiem, „bo“ — powtarzała nieustannie — „gdyby pani matka nie była Krysi wzięła sobie za córkę, nigdyby Pan Bóg nie był mię oddał pani matce“. — To też dwie młode panie zespoliły się całą duszą nie jak dwie bratowe, ale jak najrodzeńsze siostry, i tak, nie upłynęło dużo wody w Warcie, a już śliczna Gdańszczanka stała się pieszczotką całego domu starościńskiego.

Czy pan Kaźmiérz miłował żonę, o to podobno i nie godzi się pytać. Skarb dla nas tém droższy, im więcéj kosztowało nas jego zdobycie.

Wprawdzie taż sama gwałtowność, z jaką junak ukochał i zdobył panienkę, teraz na widnokrąg małżeński sprowadzała niekiedy krótkie burze. Z mężem „impetykiem“ życie różnie się toczy. Ale mądra żonka znalazła na to sposób. Ile razy pan małżonek zaczął fukać, zaraz cała drżąca przystawała w kąciku i, przysłaniając oczy wyszywaną chusteczką (u któréj zawsze musiały być chwaściki), utyskiwała ze łkaniem:

— O ja nieszczęśliwa! Ja dla niego znosiłam srogie więzienie i tortury, a teraz co mam za to, co?

Jak tylko pan Kaźmiérz wspomniał na „srogie więzienie z torturami“, zaraz miękł i oprzytomniewał. Dla niepoznaki trochę jeszcze pohukał, ale po chwili zaczynał o czém innem kręty dyskurs, a po godzinie już przypadał do nóg Jadwichny i, jak na „złotym ganku“, całował jéj błękitny trzewiczek.

Cięższemi od tych zawieruszek były chwile, kiedy

surmy wojenne zagrały, i kiedy pan Kaźmiérz — obecnie pułkownik piechotny — razem z pancernym panem Władysławem wyruszał gdzieś daleko pod chorągiew. Natenczas dla starościny, dla miecznika i dla dwóch pań młodszych nastawały śmiertelne miesiące trwóg, niepewności, wyczekiwania na listy i wieści. Ale takiém życiem żyły u nas wszystkie ówczesne niewiasty. Marya-Hedwiga przyjęła je z odwagą, a na tę odwagę zdobyła się tém łatwiéj, że dziwnie szczęśliwe zwroty jéj dotychczasowych losów dawały jéj ślepą ufność i w przyszłe błogosławieństwo Boże.

Ten pogodny pogląd sprawiał, że i na swoją przeszłość patrzyła teraz już tylko z uśmiéchem. Obraz pana Schultza stawał przed nią w coraz łagodniejszém świetle; wspomnienie doznanych odeń ucisków zacierało się z każdym rokiem, a jego zasługi występowały coraz jaśniéj. W tém poczuciu bezwzględnéj wdzięczności utwierdzała ją pani starościna, która nie mogła myśléć bez rozrzewnienia o ludziach, co uratowali jéj dziecko. Niktby na żadnym różańcu nie policzył wszystkich Mszy Świętych, jakie rok rocznie odprawiały się w Dobrowoli za duszę pani Doroty Schultzowéj; był to dla prawdziwéj matki jedyny już sposób odsłużenia się matce przybranéj. A i w rozmowach o panu Schultzu starościna trzymała się téjże zasady, co względem umarłych: „Aut nihil, aut bene“, i jeśli mówiła o nim, to tylko przychylnie. O jego niedoszłych zalotach nigdy nie wspominała. Czasem nawet bywało, gdy sam na sam siedzi z miecznikiem, to powiada:

— Nie indygnuj się Waszmość na tego nieboraka. Wszakci on nie wiedział, z jakiego domu ona się wywodzi. A że chciał na całe życie do piersi przytulić takie złote stworzenie, to i co dziwnego? Ktoby nie chciał? Biedne człeczysko, my mu ją zabrali. Ile mnie szczęścia, tyle jemu szkody.

Tak rozumowało anielskie serce pani starościny. Więc kilka razy do roku szły dla pana rajcy pyszne upominki, droige futra, piękna broń myśliwska, domowe konfekty, przytém listy od pani Hedwigi pełne wdzięcznych zapewnień, a przy każdym liście dopisek, w którym pani starościna zapraszała go do siebie, choćby na dni kilka, „bo“ — pisała — „żałosno mi będzie umiérać bez obaczenia benefaktora mojéj córki“.

Ale z panem rajcą twarda była sprawa. Za dary przysyłał niemniéj piękne dary; na listy odpisywał sztywno i lodowato; a na zaprosiny odpowiadał zawsze jedno i toż samo:

— „Z moją Florą za dobrze mi doma, abych ja się miał z niego ruszać. To żona, którą Pan Bóg stworzył richtig dla mnie, i głupim ja był, kiedym Panu Bogu kontrował“.

Nakoniec mieszkańcom Dobrowoli zrobiło się markotno, że pan Schultz chce zawsze uchodzić za niezapłaconego wierzyciela, i zaczęli przemyśliwać, czémby go tu prawdziwie wspaniałem obdarować?

Aż i wymyślili: nobilitacyę.

Chcieli go przypuścić do swego Nałęcza. (Z tą wszakże odmianą, że binda miała być nie biała i fałdzista, jak

zwykle, ale żółta i perełkowana, niby przepaska z bursztynu).

Rzecz ta, co prawda, przedstawiała niemałe trudności; trzeba ją było wyrabiać aż na Sejmie, i to — szczerze mówiąc — nie wiadomo za jakie zasługi? Chyba właśnie za ocalenie starościanki od niewoli pogańskiéj.

Zaczęto jednak zabiegi; te szły opornie i zwolna; skutek był więcéj, niż wątpliwy. Ale pani Hedwiga nie chciała o nim wątpić i już sobie roiła, że sama ów klejnot zawiezie dawnemu „dobrodziejowi", bo chciało jéj się koniecznie raz jeszcze śliczny Gdańsk odwiedzić, i rada téż była pochwalić się tam przed wszystkiemi dwojgiem wdzięcznych dziatek, jakie po jéj alkierzu biegały. Pan Kaźmiérz także byłby chętnie znowu zobaczył swoje morze, i Władysławowskie szańce, i starego „Łabędzia", i starych towarzyszów od Wodnéj Armaty. Pani starościna pochwalała zamiar, tylko nie radziła zabierania dziatek; wieloletnie doświadczenie ostrzegało ją, że widok tych „kinderków" nie będzie miły dawnemu współzalotnikowi, témbardziéj, że, jak wiedziano z listów, i teraz pozostał on bezdzietnym. Pani Jadwiga (zwyczajem wszystkich matek) nie mogła zrozumiéć, aby widok jéj dzieci mógł być komukolwiek na świecie niemiły, ciągnęły się więc daléj rozmysły i narady, gdy znienacka los wszystko przeciął.

Pewnego dnia przyszedł list z czarną pieczęcią, w którym pani Flora donosiła, że pan Johann Schultz, rażony apopleksyą, niespodzianie zakończył żywot.

— „Medyki gadają" — pisała — „jakoby przez cerewizyę był spalon. Ale to azynusy. Wszakci tyle lat pijał

i nic mu nie było. Ja wiem, że jeśli co go spaliło, to jeno gorącość affektu dla mnie, bo jako żyję, nigdym jeszcze nie widziała takiéj zacnéj passyi, i póki mi życia, póty po nim łzów i desperacyi".

Poczém podpisano było:

„Niepocieszona wdowa" i t. d.

Trzy panie popłakały się serdecznie nad śmiercią byłego „dobrodzieja", nad jego niedoczekaniem klejnotu i nad opuszczeniem biednéj wdowy.

I znów pani Jadwiga podała myśl, aby przynajmniéj panią Florę sprowadzić do dworu dobrowolskiego, już jeśli nie na długo, to chociaż na pierwsze miesiące żałoby. Pani starościna mniéj chętnie tym razem przyzwalała, bo ją nieco straszył obraz owéj niewiasty, ale — nie było co mówić — i owa niewiasta przyczyniła się do szczęścia córki, więc napisano zaprosiny.

Przez długi czas nie było żadnéj odpowiedzi. Nakoniec przyszła, znowu z żałobną pieczątką, krótka i jękliwa.

Pani Flora „submitowala się, jako nie może przybyć, bo do śmierci nie opuści tego domu, gdzie na każdym kroku widzi andenkieny i jakoby drogą umbrę swojego Johanna".

Potém wszystko przycichło.

Aż oto po roku i kilku niedzielach przyszedł znowu

list, ale teraz już z pieczęcią czerwoną, i to ogromną, magistracką.

Osnowa listu była następująca:

Wielce mnie Miłościwa
Jaśnie Wielmożna JMci Pani Starościno
Dobrodziejko!

„Znając łaskę wielce mnie Miłościwéj JMci Pani na mnie, mam onor donieść, jako w dniu wczorajszym połączyłam się węzłem małżeńskim in 3-o voto z JMci Panem Krzysztofem Freimuthem, wdowcem, Prześwietnym Burmistrzem miasta Gdańska. Co sobie mam za wielkie sygnum łaski Bożéj, albowiem JMci Pan Freimuth uczcił mię takowym affektem, co jako żyję na świecie, jeszczem nie widziała podobnie zacnéj passyi. Przytém człek to potężny. O wojażach już mi nie myśléć teraz, kiedy całki Gdańsk na mojéj głowie. Wczora, z okkazyi naszego Hymenu, cały dzień w mieście były festyny z ogniami, a z wieczora przeniosłam się do Burmistrzowego Dworu, gdzie żyję w królewskich luxusach, ale w kamienicy mego męża in 2-do voto, ś. p. Johanna Schultza, ostawiłam monument moich usług dla Jaśnie Wielmożnych Państwa. A racya takowa: Kiedy JMci Panna Starościanka nas odjachała, zara ludzie poczęli po staremu stoić podle naszéj kamiennicy i wypatrować ono skulptowane okienko, i admirować jako to przez taką cyrkumferencyę człowiecza persona mogła się przewinąć? Tedy mój Mąż in 2-do voto, ś. p. Johann Schultz, jako człek zagryźliwy, od którego piwnych ja humorów nie małom ucierpiała,

irrytował się na takowe tumulty i ze złości kazał ode środka zamurować okienko, tak co w onéj obręczy ostało się jeno wybielone wkląknięcie. Ale i to nie pomogło. Ludzie znowu stawali podle naszéj kamiennicy, aby się naśmiéwać z onéj złości. Teraz tedy, kiedy posessya po ś. p. Johannie Schultzu przeszła na mnie, zara, wedle mojego nakazania, skulptor w oném wkląknięciu wyimainował z kamienia głowę młodéj frajleiny z krézą i cudną facyatą, na konterfekt Jaśnie Wielmożnéj Panny Starościanki. Zaś niżéj zamalowana jest lazurem rozbujała szarfa, zaś na szarfie złotemi literami napisane: Amor allatus est. Niechże ornament ten reprezentuje wdzięczne homagium dla

Jaśnie Wielmożnych JMci Państwa
od uniżonéj sługi
jakową mam onor się pisać
Flora Freimuthowa
Burmistrzowa Miasta Gdańska.

List pani burmistrzowéj sprawił na mieszkańcach Dobrowoli wrażenia rozmaite, ale co epilog, to wywołał jednomyślny poklask. Ów „ornament“, nie zdradzający żadnych imion, a jednak tak wymowny, przypadł wszystkim do serca. Zwłaszcza téż pan Kaźmiérz aż głaskał się po piersiach na myśl, że jego Hedwiga została w kamieniu unieśmiertelniona, i że pamięć o niéj przetrwa między ludźmi, jakby jakowe poema.

I rzeczywiście, przez długie czasy, ile razy jaki podróżnik zwiedzał Gdańsk i jego ciekawości, zawsze poka-

zywano mu ową główkę wyrzeźbioną w kamiennym pierścieniu, przyczém opowiadano dziwy o pięknéj, niegdyś więzionéj tu dziewicy i o jéj napowietrznèm porwaniu przez rycerza morskiego.

A że mieszkańcy Gdańska slyną z poszanowania dla zabytków przeszłości, więc kto wié, może i ta pamiątka jeszcze się u nich przechowała. Może do dziś dnia panienka z okienka tam wygląda, i tęsknie czeka, i wypatruje, czy raz jeszcze nie pojawi się przed nią marynarz od puckiéj floty.

Pisałam w Warszawie 1891 r.

KONIEC.

PRZYPISY.

Tom I.

ROZDZIAŁ I.

W kamiennym pierścieniu.

Str. 7. *Były to dwa malutkie wianeczki, przytwierdzone do główki kapelusza.*

Taki przystrój na kapeluszu ślubnym z XVII-go wieku można widzieć w Zbiorze rycin, wydanym w latach 1876—79, p. t. *Blätter für Kostümkunde—Neue Folge—89 Blatt—Verlag von Franz Lipperheide in Berlin.*

Str. 7. *Ubranie ówczesnej Gdańszczanki.*

Słynny przed trzystu laty malarz gdański, Antoni Müller, którego „Sąd Ostateczny" do dziś dnia można oglądać w Artushofie, wydal Zbiór rysunków pod tytułem: *Omnium statuum Foeminei sexus ornatus, et usitati habitus Gedanenses, ob oculos positi et divulgati ab Antonio Müllero ibidem pictore. Anno salutis 1601.* — W Gdańsku, u Jakóba Rhodo. — Pod spodem drugi takiż tytuł po niemiecku.

Widzimy tam na dwudziestu drzeworytach wiernie przedstawione stroje kobiet gdańskich, wszelkiego wieku i stanu, z początku XVII-go stulecia. Obecnie dziełko to wyszło w powtórnem, „facsimilowem" wydaniu (w Gdańsku, u Ryszarda Bertlinga, w r. 1886-m), co wielce dziś ułatwia jego rozpowszechnienie, pożądane dla miłośników przeszłości. Wprawdzie rysunki Müllera skreślone są z rodzajem ironii, czasem

nawet zakrawającej na karykaturę (np. w scenie *Tańca*). Widz dostrzega tam wyraźnie, że ówczesne mody (mówiąc nawiasem, dosyć podobne do dzisiejszych) nie dogadzały czystemu smakowi artysty, i że on właśnie chciał wykazać, ile takie sztywne suknie, odęte rękawy i sterczące kołnierze ujmują kobiecie wdzięku. Jednak, pomimo satyrycznej dążności, książka ta stanowi niezmiernie szacowny pomnik, i dzięki to tylko jej pomocy można dziś tak dokładnie opisać ubiór ówczesnej Gdańszczanki.

Str. 9. *Szła Panna Młoda.*

Na 14-m obrazku powyższego Zbioru Müllera widzimy właśnie taką Pannę Młodą, między dwiema druchnami, w ubraniach wedle dawnego obyczaju. *Sponsa in habitu antiquo.* Jest-to jedyny w całej książce rysunek, nakreślony z prawdziwą estetyką i z widocznem rozlubowaniem się w przedmiocie, co dowodzi, że jeżeli na innych kartkach artysta nie rozlał podobnej poezyi, to nie dlatego, aby nie umiał jej odczuć lub wyrazić, ale że jej nie odnajdywał we współczesnych sobie postaciach.

Str. 13. *Herb marynarki puckiej, ten sam, co był wyszyty na banderze królewskiej.*

W **Opisie starożytnej Polski** przez *Tomasza Święckiego* (Warszawa— 1828 r. — Wydanie drugie—) w Tomie I-m przy stronicy 342-ej znajduje się sztych, wyobrażający dwie nasze dawne bandery, narodową i królewską, wykonany podług *Zbioru Pawilonów całej Europy*, wydanego w Augsburgu w 1790-m roku.

Str. 18. *Na usługi pana łeficerza.*

Jest-to kaszubski sposób wymawiania wyrazu: Oficer. Obacz w **Niwie** z 1-go stycznia 1892 r. artykuł D-ra *Nadmorskiego*, p. t. **Z gwary Kaszubskiej,** i przytoczoną tam, z nad jezior Raduńskich, *Pieśń o smutny Aneczce*, która się zaczyna od słów:

„Weszła na gescyniec, łeficerze jadą” i t. d.

ROZDZIAŁ II.

W Bursztynowym Domu.

Str. 27. *Spostrzegł nie bez podziwu, że pod siedzeniem jest ukryta szuflada z misternym zameczkiem.*

Rysunek takiego ciekawego krzesła znajduje się w dziele, wydanem niedawno przez *M. A. Racineta*, p. t. **Le Costume historique** (Paris, chez Firmin-Didot), w tomie V-m, na karcie F.—A.

Str. 29. *I cóż król, zrobił ten kielich? Gadali, że zrobił, i że tam wygrawował swój osobisty konterfekt.*

Kielich ten dotąd istnieje. Oto co drukował **Tygodnik Illustrowany** w roku 1884-m, w N-rze 71-m, na str. 303-ej:

„*Kielich bursztynowy roboty Zygmunta III-go* znajduje się obecnie na wystawie kamei p. Ciążyńskiego w Krakowie. Kielich ten niegdyś podobno stanowił własność biskupa Sołtyka, po którego śmierci, gdy zbiory jego poszły w rozproszenie, został sprzedany, a następnie drogą zapisu dostał się p. Ludwikowi Michałowskiemu. — Na przezroczystem dnie widać wizerunek króla-rzeźbiarza, a obok leżą, odpadłe od kielicha, prześlicznej roboty cztery maskarony".

Str. 39. *I kiedyż to było?... Po wiktoryi pana Koniecpolskiego pod Martynowem?*

„Dziękowały panu hetmanowi Koniecpolskiemu ofiary jassyru tatarskiego, odbite przezeń sławnym pogromem Ordy pod Martynowem nad Dniestrem. Odniósł hetman to błogosławione zwycięstwo już w kilkanaście miesięcy po swojem własnem wyzwoleniu z jassyru. Ogromna tłuszcza krymskiego i nogajskiego Tatarstwa wpadła na wiosnę r. 1624 pod srogim łupieżcą Kantemirem w południowe granice Polski i, zagnawszy się aż po ostatnie miedze ziemi Przemyskiej, zniszczyła wszystko pożogą i rozbojem. Oprócz zwyczajnych łupów wojny tatarskiej, chwytało pogaństwo najchciwiej dzieci obojej płci.

Nabrano tyle chłopców i dziewcząt w handel do serajów tureckich, iż na trzy mile rozciągał się pochód teleg i koni z tym plonem, gdy Orda nareszcie wracała ze zdobyczą do domu. Największą w takim razie trudnością była dla niej przeprawa przez Dniestr na Pokuciu. W tegorocznym pochodzie wyprawiono naprzód wszystek plon z łupami w kosztownościach i trzodach, a zbrojne hufce Kantemirowe ciągnęły z tyłu.

„Około połowy czerwca przeszły już były przez rzekę nieskończenie długie rzędy teleg zdobycznych i o milę za Dniestrem stanęły koszem ogromnym. Na dążącą zaś za wozami zgraję łupieską wpadł niespodzianie hetman polny koronny z niewielkim pocztem rycerstwa i straszną klęskę zadał Kantemirowi u brzegów Dniestru. Większa część pogaństwa zginęła, albo, błąkając się, rozbita po lasach okolicznych. Tylko mała garstka uszła w popłochu, z trzykroć postrzelonym dowódcą Kantemirem.

„W pogoni za rozbitkami, zagnało się rycerstwo polskie aż do kosza z jeńcami, dla których niewola pogańska skończyła się tym razem na szczęście już w granicach własnego kraju. Scenę spotkania się wybawców z wybawionymi odmaluje najlepiej jeden ze świadków naocznych, spółuczestnik tego jedynego w swoim rodzaju odgromu dziatek:

„Od południa, mila od Dniestru, począł się kosz, niezliczona „rzecz ludzi obojga płci, bydła, koni, stada owiec, które na gospo„darstwo pędzili. Pełno było po polach dzieci, niewiniątek i niemo„wlątek odbieżanych, które tylko płaczem krzyczały. Zaczęły się „więźniów naszych, szlachcianek i panienek szlacheckich procesye „i tłumy bardzo gęste różnej kondycyi i wieku ludzi, około Krosna „i Przemyśla pobranych, przez trzy mile *continue* z płaczem idą„cych. Wielki tam żal był z pociechą zmieszany, gdy ci ludzie zno„wu na świat porodzeni, z prostoty swojej krzyżem przed nami pa„dając, różne błogosławieństwa nam dawali. Sprzętami zaś do„mowymi, a nawet aparatami kościelnymi, cokolwiek jeno na koniu „zanieść mógł nieprzyjaciel, usłany był wszystek szlak. A plon „temu poganinowi jako okrutnemu lwu z paszczęki wydarty i do „wolności pierwszej jest przywrócony, tak że ledwie kto u nich „w niewoli został, oprócz tych, których oni, uciekając, ścinali i pso„wali, których jednak nie nalazło się więcej nad kilkuset na tych „szlakach...”

„Po wyczerpaniu ostatnich sił pogoni za resztkami pogaństwa, kiedy konie, od 26-iu godzin nic nie jadłszy, kroku już dalej ruszyć nie

mogły, pozwolił sobie hetman o północy dwugodzinnego spoczynku w lesie, a rano o pierwszych zorzach udał się do poblizkiego Halicza, dla podziękowania Bogu za wczorajsze ocalenie tylu ofiar jassyru od długoletnich więzów, tylu dusz niemowlęcych od wieczystej zaguby w błędach pogańskich. Przy odgłosie dzwonów dziękczynnych, wyprawiono na rozkaz hetmana kilkadziesiąt wozów, dla pozbierania dzieci małych, których niezliczona rzecz była na miejscu pogromu, wzdłuż na całe trzy mile".

„Wiele z przywiezionych do Halicza dzieci rozchwyciły natychmiast matki tameczne. Największą część zawieziono na kilkudziesięciu wozach dalej do Lwowa. Tam panowie rajcowie kazali wystawić sierotki publicznie na Rynku miejskim, aby, kto zechce, przygarnął je za swoje. Czemprędzej rzuciły się tłumy mieszczanek i mieszczan do wozów z niemowlętami i rozebrały je między siebie.

„Przez zacnych rodziców przygarnięte sierotki urastały po największej części do wcale innych losów, niż im przeznaczone były od urodzenia. Niemało dzieci pańskich poszło na wychowanie i całe dalsze życie w progi ubóstwa, wiele zrodzonych do biedowania pod ubogą strzechą wieśniaczą znalazło niespodzianie przytułek w dostatnim domu mieszczańskim. Ileż to scen niespodzianego później spotkania się rodziców z dziećmi utraconemi odgrywać się musiało po dziwnej zmianie losów, przy teraźniejszem wyzwoleniu z więzów pogańskich!" — **Dzieła Karola Szajnochy.** Warszawa, 1876, w tomie drugim: *Powieść o Niewoli na Wschodzie.* Str. 382.

ROZDZIAŁ III.

Na złotym ganku.

Str. 44. *Możeś Wasza Miłość słyszał o Michale Schultzu? To był sławny majster od zegarów.*

W dziele, wydanem przez *Racineta* **Le Costume historique,** w

tomie V, na karcie *Pod dziadkiem do orzechów*, między innymi klejnotami z czasów Odrodzenia jest pod N-em 5-m zegarek z następnym napisem:

„Montre en argent, en forme de bouton de fleur. Ce bijou de la fin du seizième siècle est de fabrication allemande. Le cadran circulaire en argent, à une seule aiguille, encadre un paysage gravé; l'entourage se compose d'une tête de cherubin et de fruits gravés en réserve. Le mouvement et signé. *Michel Schulz, à Dantzig*".

Był więc zegarmistrz tego nazwiska w Gdańsku, i to mistrz, co się zowie. A ponieważ, wedle tego świadectwa, żył w końcu szesnastego wieku, mógł więc żyć jeszcze i w początkach siedemnastego.

Str. 70. *Miała też na sobie i trochę klejnotków, jedynych, jakie w czasie żałoby godziło się nosić. Były to trupie główki z białej kości, powiązane ogniwami ze srebra, wyrobionemi w drobniutkim kształcie parzystych, nietoperzowych skrzydeł.*

Takie przerażające klejnoty żałobne można widzieć tamże u *Racineta*, w tomie V, na tejże karcie *Pod dziadkiem do orzechów*.

Str. 74. *Panny... nałożywszy na stanik małą pelerynkę, a na głowę kapelusz słomiany, zupełnie podobny do naszych dzisiejszych „pasterek*".

W wymienionem powyżej dziele z *Ubiorami Gdańskimi* malarz Müller, na rycinie 16-tej, odrysował tak przybrane: *Panny, idące na przechadzkę, Spazierende Jungfrauen.*

Str. 75. *To się nazywa kołnierz z „konfuzyą*".

Taki potrójny kołnierz „à la confusion" można podziwiać u *Racineta*, w tomie V, na karcie F.-J., w obrazku, przedstawiającym zakład balwierza.

Str. 75. *Były spowinięte niderlandzkim „huikenem*".

„Cest l'*huiken* néerlandais... il a une importance plus grande que celle d'une mode passagère; l'ornement du front, en forme de champignon, avec une grande poignée droite au centre, soutenant une houppe avancée,

est en quelque sorte devenu générique dans l'Allemagne du Nord pendant le dix-septième siècle, en particulier dans les grandes villes de commerce, telles que Hambourg, Brême, Lubeck, Cologne, etc. Ce genre de parure devint l'apanage presque exclusif des classes moyennes bourgeoises. On lui donnait à l'occasion une forme de corne, ou d'éperon de vaisseau; le port en était le même; cela s'avançait plus ou moins loin, mais toujours en avant du front. Les élégantes françaises ou anglaises n'adoptèrent point cet appendice baroque, et il ne paraît pas invraisemblable que les Français, qui faisaient alors tant de campagnes dans les Pays-Bas et dans l'ouest de l'Allemagne, au temps même, ou cette espèce de plumeau à épousseter se mettait au devant du front, et y faisait fureur, durent être vivement frappés par la houppe qu'ils rencontraient là de toutes parts. Ils en devaient souvent parler, et la locution populaire en France: „une dame huppée", servant à désigner une personne richement parée, n'a peut-être pas d'autre origine que la houppe des Flamandes, dont le véritable nom en ce cas serait celui de *dames houppés.*" — **Le Costume historique** de *M. A. Racinet*, tom V. Tekst do karty *Pod bratkiem.*

Str. 76. *Miały koronkowe kaptury, w rękach wachlarze z piór puszystych, a na twarzy czarne aksamitne półmaski. To przyjezdne... z angielskiego kraju.*

Tamże, obacz w tomie V kartę *Pod Koroną.*

Str. 86. *Zegary wybiły jedenastą; wtedy zabrzmiała w powietrzu cudowna muzyka, złożona z trąb i fletów, muzyka, która od wieków całych, w owej przedpółnocnej godzinie, odzywa się na kościele Ś-tej Katarzyny.*

Nie wiem, czy dziś jeszcze daje się ona słyszeć, ale, kiedy zwiedzałem Gdańsk w roku 1858-m, hejnał ów odzywał się tam co wieczór, i echo jego, brzmiące dotąd w mojej pamięci, należy do najpoetyczniejszych wspomnień tego miasta.

ROZDZIAŁ IV.

W Artusowym Dworze.

Str. 96. *Był to bowiem jeden z owych pięciu okrętów, co przewoziły Zygmunta III-go do Szwecyi.*

W. A. Maciejowski, powołując się na „Drogę do Szwecyi" Zbylitowskiego, pisze:

„Zbrojne okręty polskie wiodły do Szwecyi na koronacyę Zygmunta III-go, których nazwiska były: Łabędź, Fortuna, Niedźwiedź, Wilk, Lipska-Nawa". -- **Polska i Ruś pod względem obyczajów,** tom II, str. 468.

Str. 103. *Niesokorowy passamon.*

„*Niesokor* — tak zwano w dawnej Polsce jedwab' surowy, z którego pleciono koronki, wyrabiano pasy i t. d. "—**Encyklopedya powszechna** *Orgelbranda*, t. 19, str. 431.

Str. 108. *Młodzież ubierała się najczęściej z francuska; zwłaszcza na zebrania taneczne kładziono pończochy i trzewiki, „pourpointy", płaszczyk walezyuszowski i t. d.*

Tak właśnie jest ubrany tancerz w książce Müllera, w owej scenie balowej (rycina 13-ta), o której wspominaliśmy już wyżej.

Str. 108. *Głowa była fryzowana z niezmiernem staraniem; jedni zakręcali nad czołem dziwnie harde czuby.*

Takim właśnie czubem zdobny jest tancerz, wspomniany w poprzedzającym przypisie.

Str. 108. *Inni nosili włosy długie i do pół pleców rozpuszczone, według mody, zwanej „kometową", inni jeszcze z poza lewego ucha zwieszali sobie warkoczyk, ową tak słynną „cadenettę", co się zakończała „galantem"; czasem, zamiast warkocza, był to pukiel zwinięty w rurkę długą.*

Szczegółowe opisy i rysunki tych ciekawych uczesań męskich z wieku

siedemnastego można znaleźć w V-tym tomie dzieła *Racineta:* **Le costume historique.**

Str. 108. *Młody Morsztyn, pono wnuk tego potentata morskiego, co niegdyś własnymi okrętami, na własną rękę, prowadził handel z Anglią i Hiszpanią.*

„Morsztyn, kupiec krakowski, za Jagiellonów, na własnych okrętach wiódł handel z Anglią i Hiszpanią. **Polska Marynarka** przez *Jul. Bartoszewicza,* w **Encyklopedyi Powszechnej** *Orgelbranda,* tom 21, str. 127.

Str. 109. *Sire de la Crosade, Francuz, który wsławił się w naszych bojach dziełami rycerskiemi.*

Świadczy o nich jego nagrobek (umieszczony w kościele Ś-tej Brygidy w Gdańsku), na którym czytamy: „qui contra Moschos et Suecos strenue decertavit". Umarł w r. 1662.

Str. 109. *Jego pukiel na wysokości ucha był przetknięty perłą. Mody tej, tylko co wynalezionej przez jednego z książąt Lotaryńskich...*

„C'est le Comte d'Harcourt, cadet de la maison de Lorraine, qui imagina de suspendre ainsi la grosse perle qu'on lui voit dans ses portraits, et qui lui valut le surnom de Cadet-à-la-perle". *Racinet* — **„Le Costume historique"**, tom V, tekst do karty F.—L.

Str. 114. *Byli to trzej bracia: Izaak, Abraham i Arnst Spiryngowie.*

O braciach Spiryngach, Spiryngowem cle, Komisyi morskiej i t. d. czytaj bliższe szczegóły w przewybornym artykule *Juliana Bartoszewicza,* p. t. **Polska marynarka** w **Encyklopedyi Powsz.** *Orgelbranda,* tom XXI, str. 132 i dalsze.

Str. 116. *Muzyka, uderzywszy „Alla polacca", zaczęła grać „Wielkiego", czyli, jak go także zwano, „pieszego". Tańcowano go wtedy zupełnie inaczej, niż w późniejszych czasach.*

„Dawniej, gdy przeważał w polonezie pierwiastek wojenny, tańczyli go często sami mężczyźni; później wchodziły do niego i kobiety, ale tańczyły osobnemi parami; w końcu dopiero, gdy taniec się rozwinął, mężczyźni tańczyli w parach z kobietami. Na Mazowszu zwał się niegdyś *pieszym*, w Krakowskiem *wielkim*". Artykuł **Polonez** p. *Oskara Kolberga* w **Encyklopedyi Powsz.** *Orgelbranda*, tom XXI, str. 4.

Str. 118 i 119. *A ów Jan z Kolna? A Sierpinek? A Lanckoroński? Abo i Cyppelmann?*

O tych wszystkich naszych bohaterach morskich czytaj obszerniejsze wiadomości w przytoczonym już powyżej artykule **Polska Marynarka** p. *Jul. Bartoszewicza*, w **Encyklopedyi Powszechnej** *Orgelbranda*, tom 21, str. 126 i dalsze.

Str. 124. *Na głowie, u samego jej wierzchu, ma tak zwaną „forgę", czyli kilka piór, postawionych zupełnie prosto, które z warkoczowego koszyczka wytryskają w górę, jakby pieniąca się fontanna.*

Damę, tańcującą z takiemi piórami na głowie, można oglądać u *Racineta* w dziele **Le Costume historique,** w tomie V-m, na karcie F.—H.

ROZDZIAŁ V.

Pod srebrnym księżycem.

Str. 146. *Taniec „Wianków", czyli Taniec panieński.*

Łukasz Gołębiowski w swoich **Ubiorach w Polsce,** pod wyrazem *Wieńce* (na 208-ej str. wydania Turowskiego) pisze:

„Wieńce przybierały panienki do tańca, wieńcami obdarzać taneczników swych snadź wolno im było.

„Wtem po parze panienki wszedłszy się ukłonią
„I wiodą rej, wziąwszy jedna drugą dłonią;

,Aż wywabią wesołe z za stoła młodzieńce,
„A ci z niemi tańcują chędogo o wieńce"—
jest napisano w Zbiorze rytmów Kaspra Miaskowskiego, w r. 1662 wydanym".

ROZDZIAŁ VI.

Ptak niebieski w klatce.

Str. 179. *Tamtej nocy tom ja sobie skaptował profosa od straży przy Wysokiej Bramie.*

Profos. W dawnej naszej kawaleryi narodowej stopień podoficera. „Stopień profosa ma być dany w randze unteroficerskiej wysłużonemu szeregowemu; jego powinnością zapisywać i dopilnować aresztantów". **Encyklopedya Powsz.** *Orgelbranda*, tom 21, str. 588.

Ten ostatni szczegół wskazuje, że wszelkie rodzaje „straży" bywały mu prawdopodobnie poruczane.

Tom II-gi.

ROZDZIAŁ II.

Tak, ale wszelka miłość ma skrzydła.

Str. 34. *Nie dziwota! Wolała młodego zucha, niż tego starego pierkosa.*

„*Pierkos.* Gdy kto i w podeszłym wieku stroił się w pióra, co młodym właściwsza, tak go nazywano. — Stary pierkos, pióro za czapką, a czupryna siwa — mówi Petrycy". *Łuk. Gołębiowskiego* **Ubiory** w Polsce, wyd. Turowskiego, str. 169.

ROZDZIAŁ III.

Cudowne odkrycie.

Str. 56. *Krzesła, co jaśniały stuwzorzystym forsztatem.*

„*Forsztat, fursztat*, materya jedwabna, snadź wzorzysta. I pół-furstat bywał. Robiły go kobiety dziełem tkackiem na krosnach, wyobrażając przedmiot jaki dobrany”. **Tamże**, str. 122.

Str. 56. *Kotary z błękitnej kamchy.*

„Kamcha, materya turecka lub chińska, jedwabna. Władysław Jagiełło 100 sztuk kamchy corocznej daniny na wojewodę wołoskiego nałożył”. **Tamże**, str. 132.

ROZDZIAŁ IV.

Wesele.

Str. 79. *Powyżej pasa rysował się jej kabat z fioletowego rzymskiego szarszedronu.*

„*Szarsza, szarszedron*, materya wełniana, z jedwabnemi nićmi pomieszana. Rzymski szarszedron chwalony był najwięcej”. **Tamże**, str. 189.

Str. 80. *Z kordem, wiszącym przy mędelkowym pasie.*

„Tureckie i perskie pasy rozmaite były. Ordynaryjny pas turecki, *mędelkowym* zwany, płacił się najtaniej 4 dukaty. **Tamże**, str. 164.

Str. 95. *Za janczarami toczył się powóz, najmodniejszy wówczas, zwany brożkiem.*

„*Brożkiem* zwał się powóz, arcystaroświeckiego kształtu, opatrzony wspartym na cienkich kolumnach baldachimem i firankami, wedle woli

zasuwać się i odsuwać mogącemi". **Historya Powszechna Konia** p. *Maryana Czapskiego.* Poznań, 1874, tom II, str. 497.

ROZDZIAŁ V.

Wtóre wesele.

Str. 147. *Zaprosił go „Pod Łososia". Sławny ów zakład istniał już od lat kilkudziesięciu.*

To jest od roku 1598-go, od którego to czasu ten dom, głośny z wyrobu i składu najprzedniejszych wódek gdańskich, a zwłaszcza Goldwasseru, nieraz już zmieniał właścicieli, ale dotąd nie zmienił ani polskiego napisu, ani ulubionego szyldu, którym jest olbrzymi, kołyszący się nade drzwiami „łosoś".

ROZDZIAŁ VI.

I trzecie wesele.

Str. 151. *Żupan z koftyru.*

„*Koftyr*, materya kosztowna jedwabna turecka; takiej 200 sztuk corocznie dawać musiał Jagielle wojewoda wołoski". **Ubiory w Polsce** p. *Łuk. Gołębiowskiego*, wyd. Tur., str. 139.

Str. 161. *Pieczęć magistracka czerwona.*

„Monarcha ten (Kaźmierz Jagiellończyk), nadając wiele Gdańskowi, ukoronował pieczęć tego miasta, na czerwonym ją wosku odciskać po

królewsku upoważniał i t. d.". **Góra Biskupia pod Gdańskiem i Szotland albo przedmieście Szkockie** przez *Zygmunta Koniarnickiego* **w Bibliotece Warszawskiej** z r. 1859, Kwiecień, zeszyt 28, str. 18.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Tomu II-go.